

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT NR 25 (1761) 21 – 27 czerwca 2024

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237



**Z dubeltówką
na Putina**

str. 6-7

**Wyskakuj
z kasy,
pedofilu!**

str. 10-11

STREFA BUFOROWA



nie@redakcja.nie.com.pl

www.tygodniknie.pl

Tygodnik NIE

Tygodnik NIE

ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

WOJNA DOMOWA

▶ PiS wyprodukowało spot. Nie wyborczy, bo żadnych wyborów nie ma na horyzoncie, tylko taki ogólnie polityczny. W spocie na tle muzyki w duchu „Mission Impossible” przewijają się obrazy Donalda Tuska, który mówi, że „w polskich domach będzie lepiej” i osób, które nie są białe i stoją na polskiej ulicy. A także siedzą na polskim przystanku, przechodzą przez polską ulicę (legalnie, na pasach) i ładują coś do polskiej furgonetki. Media informują, iż spot w pokazuje „agresywne zachowania” migrantów – ale najgorszą rzeczą, którą którykolwiek z ciemnoskórych bohaterów spotu robi, jest taniec na dachu samochodu. Za to wyraźnie agresywnie zachowuje się polska policja: w innej ze scen trzech policjantów brutalnie ciągnie ciemnoskórego człowieka po ziemi i wrzuca do furgonetki. Tak się zastanawiamy: czy PiS naprawdę ma już tak posrane we łbie, że brutalność policji uważa za argument przeciwko ofierze tej brutalności? Bija, znaczy zasłużył?

▶ Joanna Scheuring-Wielgus podzieliła się z tefalenem refleksją na temat żalostnego wyniku lewicy w wyborach do PE. Otóż to wszystko wina partii Razem. Albowiem „część z nas jest w rządzie i realizuje postulaty lewicy, które są realizowane, a część, powiedzmy, tej lewicowej strony ten rząd krytykuje, więc rzeczywiście nasi wyborcy mogą tego nie rozumieć”. I oczywiście fakt, że lista do PE została tak ułożona, że z góry było wiadomo, że do Brukseli pojedzie Robert z chłopakiem oraz ich przyjaciółka Joanna, a zostanie np. prof. Marek Belka, nie ma z tym wynikiem nic wspólnego.

▶ I jeszcze o tzw. lewicy: red. Sławomir Sierakowski, twórca „Krytyki Politycznej”, swego czasu uważany za przyszłość lewicowej myśli w Polsce, zaprezentował swój punkt widzenia na powyborską rzeczywistość. Otóż „Platforma wygrała w Europie”, albowiem „przy katastrofie w Niemczech i we Francji” Donald Tusk „staje się praktycznie liderem Unii Europejskiej”, gdyż „pokonał populistów” i będzie „ciśnięty, żeby został szefem Komisji Europejskiej”, ale „tego nie robi, bo oczywiście nikt mu by tego w Polsce nie wybaczył”, tym niemniej gwiazda Tuska świeci coraz jaśniej, zwłaszcza teraz, kiedy „wyborcy zwrócili Platformie jej głosy, które 15 października pożyczeli Trzeciej Drodze”. Miłość, jaką Donald Tusk budzi w sercach niektórych lewicowych myślicieli, ma w sobie jakiś komponent masochistyczny.

▶ Jarosław Kaczyński rozpisal casting na prezydenta – dowiadujemy się z przecieków z Nowogrodzkiej. Poszukiwania kandydata odbędą się w sposób wysoce profesjonalny, za pomocą badań jakościowych i ilościowych, ale już wiadomo, że nie będzie nim Beata Szydło, albowiem „w sytuacji wojennej” baba nie może być najwyższym zwierzchnikiem sił zbrojnych. Morawiecki – drugi z wymienianych powszechnie kandydatów – niby by mógł, bo chłop na schwał i zawsze ma dobrze uszyty garnitur, ale „obciąża” go siedem lat kierowania znakomitym rządem PiS. Pojawia się też nazwisko niedoszłego prezydenta Warszawy Tobiasza Bocheńskiego, którego prezes bardzo ceni, ale partii mniej, bo jest za mało pisowski – co prawdopodobnie oznacza, że ma ojca profesora, jest dobrze wychowany i wypowiada się logicznie. Nie pasuje ni cholery.

▶ Bronisław Komorowski uspokaja sąsiadów z Przesmyku Suwalskiego. Uspokaja głównie swoją obecnością, albowiem ma tam dom i wcale nie zmierza go porzucić, choć prezydent Duda ogłosił, że przesmyk jest „w potencjalnym zagrożeniu”. Były prezydent uważa, że „strach bywa nadużywany w polityce, także w celach wyborczych” – i wcale nie ma na myśli tylko Dudy, albowiem „każda władza ma takie ciagoty”. Zanim jednak zdążyliśmy się zdziwić, że polityk nieznaną ze szczególnie wybuchającego intelektu zachowuje się tak rozsądnie, Komorowski zapędził się w tym uspokajaniu na całkiem dzikie pole: „Nawet jeśli się zdarzy nie-szczęście w postaci Trumpa w Białym Domu, to będziemy mieli powtórkę z jego pierwszej kadencji, gdzie też dużo gadał na temat relacji z Rosją, ale niewiele na szczęście zrobił”. „Na szczęście”? Dlaczego nikomu w Polsce nie przychodzi do głowy, że gdyby prezydent USA – i generalnie kolektywny Zachód – zrobił więcej w relacjach z Rosją, to tej wojny mogłoby nie być?

▶ Wyborcza.biz – ekonomiczny serwis „Gazety Wyborczej” – odkryła „dziurę Domańskiego”. Z rządowego komunikatu o wykonaniu budżetu wynika, że dochody z VAT są dużo niższe niż założono w ustawie budżetowej, co oznacza, że może zabraknąć 35 dużych baniek. Eksperti od budżetu piszą i mówią – a „Wyborcza” ich cytuje – że ostrzegali. Nie dodają, że tak to jest, jak się robi ministrem finansów chłopaka w czerwonych szelkach, który przez całe życie zajmował się spekulacjami na giełdzie, a o makroekonomii ma tyle pojęcia, ile liźnął na studiach, które skończył jakieś 20 lat temu. Dodatkowo „Wyborcza” napomknęła, że zostaniemy objęci unijną procedurą nadmiernego deficytu i trzeba będzie ciąć wydatki. Może by nie było źle, gdyby rząd zdecydował się obciąć coś ze 118 mld na wojsko (szczególnie przyrzeliśmy się 10 dużym bańkom na zasięki i mokradała na wschodniej granicy). Jednak jakoś podejrzewamy, że jako pierwsze polecą wydatki socjalne.

▶ Polsat dostał ataku histerii w związku z pogłoskami o starcie Doroty Gavrilyuk w wyborach prezydenckich. „Polsat pozostaje i pozostanie najbardziej obiektywną i rzetelną stacją telewizyjną w Polsce. Dziennikarze Telewizji Polsat wykonują swoją pracę w sposób obiektywny, rzetelny i niezależny. Fakt, że różne osoby, w tym pracownicy firm konkurujących z Telewizją Polsat i należąca do Polsatu Interia próbują rywalizować z nami poprzez »anonimowe doniesienia« i wpisać nas w związki czy to z lewą, czy z prawą stroną sceny politycznej, jest działaniem wykraczającym poza standardową, zgodną z dobrymi obyczajami i fair rywalizacją. Szczególnie wpisywanie jednej z dziennikarek Telewizji Polsat w wyścig prezydencki, który nawet jeszcze nie rozpoczął się i umieszczanie jej nazwiska w publikowanych sondażach jest manipulacją” – ogłosił Polsat. Gavrilyuk znalazła się w bodaj jednym sondażu, gdzie z 10 proc. wyładowała na czwartym miejscu wśród kandydatów prawicy – za „innym politykiem”, Morawieckim i Sievierą, ale za to przed Szydło, Mastalerkiem i Kaczyńskim, którego start popiera 0,7 proc wyborców. Jest moc!

AWŁ

Z URNY URBANA

Skoro już wybuchło Euro 2024, które na miesiąc przykuło miliony do telewizorów, przypomnijmy felieton Urbana z czerwca 2012 r., kiedy to mistrzostwa kontynentu rozgrywane były w Polsce i Ukrainie.

Eurogolizna



Szczam na piłkę. Wolę, żeby Tuskowi opadło, niż rośło od takich idiotyzmów jak futbol. Skoro jednak doroshi mężczyźni, czyli dla prof. Srody podludzie, w dwóch krajach są przejęci zawodami, warto przemyśleć polityczną wymowę tej gry.

Grecja to miły kraj. Niektórym Polakom zapewnia urlop na Krecie. Wszystkim – geometrię Euklidesa, żeby się w szkole nie nudzili. Kraj ten ma kłopoty pieniężne. Dotykają one tamtejszych ludzi, a ci stają się przez to rozszłoszczeni lub smutni. Zmienne rządy greckie nie wiedzą, co robić, bo tak źle, a inaczej niedobrze. W tej to sytuacji przyjeżdża do Warszawy paru Greków, którzy mają jeszcze głowę do grania na piłkę. Minimum kurtuazji, gościnności i solidarności europejskiej wymaga od gospodarzy, żeby dać im wygrać. Choćby polscy piłkarze mieli skakać na jednej nodze z drugą przywiązaną do dupy. Tymczasem na odwrót. Wychłostani przez międzynarodową finansjerę Grecy pozwalają Polakom zremisować. Do Grecji jeszcze wróć.

Wbrew nazwie Euro całe te kontynentalne zawody furkocą szowinizmem. Mały wyrostek Azji, jakim jest Europa, dzieli karłowate patriotyzmy, a gra w piłkę sprzyja ich wytryskowi. Jeżeli Unia ma zacisnąć swe zjednoczenie, objąć Turcję, otwierać się na współdziałanie z Rosją i Ukrainą, to igryzyska o charakterze narodowym szkoda

takim zamysłem. Drużyny powinny być międzynarodalne, np. rosyjsko-litewsko-polska o nazwie Nr 7. Albo grać powinny ze sobą zespoły w ogóle niezwiązane z państwami, jacyś Czarni, Zieloni, Tęczowi, Czerwoni. Przecież w Łodzi czy Krakowie są po dwie drużyny, obie polskie, które wujują ze sobą zajadle. Mają swoje barwy, insygnia, pałkarzy. Prawda, że wołają na przeciwników „Żydz”, ale to jest synonim określenia „chuje” i nie ma etnicznego zabarwienia. Zresztą grzeczniej jest krzyczeć „Żydz” niż „chuje”, bo to nie brzmi wulgarnie, przy czym wiadomo, że Żyd to nigdy nie jest chuj całkowity.

Gdyby więc wojny zastępcze, jakimi jest kopanie piłki zamiast okopów, pozbawione zostały znamienia walk narodów, Europa jednoczyłaby się, chyżo stając się krainą, gdzie „nie masz Greczyna ani Żyda” – jak marzył poeta Tuwim. „Nie masz Polaka” nie śmiał napisać.

Każda wojna niesie w sobie załazek nowej wojny albo pokoju – zależy od tego, jak się kończy, i od polityki powojennej. I wojna była przedsiönkiem II, a II zapewniła pokój, gdyż ZSRR został terytorialnie nasycony, a USA potroiły strefy wpływów i rynki zbytu. Kryzys grecki, za którym czai się hiszpański i następne, może ukazać, że półzjednoczenie Europy, podobnie jak półtrynkowe reformy w śp. socjalizmie, prowadzi

do rozpadu. I skłania do szybszego budowania federacji europejskiej przez różne kroki gospodarcze i polityczne do tego wiodące. Może też przeciwnie – powodować stopniowy lub nagły rozkład europejskiego projektu z nawrotem wojen europejskich i faszystów włącznie.

Z tych banałów wyprowadzam niebanalne propozycje: sprzedać nowe polskie stadiony. Opylić je frajerom znanym z nazwiska lub anonimowym na giełdzie. Miliardy te z góry przeznaczyć na wspomnienie Grecji. Przykładem tym wzmocnić ogólnoeuropejską solidarność.

Sukcesy przestrzeni zwanej Polską w 10 procentach są zasługą reform Balcerowicza, w 90 procentach – standardów, wymagań, praw i pieniędzy Unii Europejskiej. Także nacjonalisci mają więc motyw, żeby Unię chronić, chociaż nadszedł czas, by – parafrazując Kennedy’ego – powiedzieć: nie pytaj, co Unia zrobiła dla ciebie, pytaj, co ty zrobisz dla Unii.

Tymczasem z okazji europejskich zawodów nożnopiłecznych nie chorągwie Unii łopocą na samochodach, tylko lokalne chorągiewki. A w wypróżnionych na czas mistrzostw głowach ostała się tylko myśl o tym, komu Polacy dokopią. Utrwalając te nawyki myślowe, obywałe Polski dokopią się ciemnej mogiły swych ambicji.

URBAN

TRYBUNA LUDZI



I co się teraz stanie z Januszem Kowalskim?

Facebook

Anna Maria Pantera: Pobawi się, nomen omen, pisorkiem.

Beata Staszak: Grozi, że skupi się na merytorycznej pracy i ja mu wierzę.

Daniel Len: Pierdzenie w pasiak to też zajęcie.

Pą Pasztet: A tym to powinien się zająć parlamentarny zespół troski o Janusza Kowalskiego.

Marcin Grochala: Wreszcie spokojnie dokończy tę kolorowanke od Kołodziejczaka.

Marcin Mielczarek: Wstąpi do Koalicji Obywatelskiej i będzie najgłośniejszą krytyką nadużycia poprzedniej władzy, zwłaszcza w Funduszu Sprawiedliwości i Lasach Państwowych...

Blog Złego Ojca: Będzie wodę nosił, dopóki mu się ucho nie urwie.

Maciej Dadej: Założy koło poselskie z Kołodziejczakiem.

Maciej Dadej: Zapluje się na amen.

Wojtek Laskowski: Będzie śpiewał w Kole Gospodyń Wiejskich

Kacper Szczypiorski: Będzie Tuskowi kwiatki podawał (znowu!).

Maciej Dadej: Nauczy się prowadzić ciągnik i wszystkich zaorze.

Stanisław Górny: Co by się nie stało, to i tak będzie wina Tuska!

Rafał Różański: Zdrapie pypcia.

Forum

Arend: Jak to co? Mianuje się wodzem jakiejś nowej partyjki. Jak JKM.

PRAŚA ŚNIADANIOWA

● **0. prof. Dariusz Kowalczyk** przyznał, że w strukturach Kościoła jest nadreprezentacja gejów. Trzeba sprawdzić, który tam lubi kapucynów.

● **Narodowy Bank Polski** uruchomił własną telewizję pod nazwą Obserwator Finansowy. Kamerki poprosimy na Aniolki Glapińskiego.

● **Kraków** będzie miał nocnego burmistrza. Posada ta szerzej jest znana jako nocny portier.

● Portal Politico umieścił **Grzegorza Brauna i Daniela Obajtka** na swojej liście najbardziej szalonych europosłów. Oby Kamiński i Wąsik nie poczuł się pominięci.

● Hiszpania testuje **panele słoneczne na cmentarzach**. Naładujmy kościotrupy energią – cóż może pójść nie tak?

● **Unia Europejska** wprowadza zakaz sprzedaży chipsów bekonowych. Unia to jednak jest świnia.

MARTA M.

TO JUŻ PIERDNAĆ NIE MOŻNA?



PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

Rys. TOMASZ WATKIN

Ataman

Upadła godność Samostijnej



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Niemiecka opinia publiczna postawiona została w minionym tygodniu w stan poważnego dysonansu. Skrajnie prawicowi i skrajnie lewicowi deputowani opuścili zgodnie posiedzenie Bundestagu, aby wyrazić swoje nieukontentowanie przemawianiem „prezydenta wojny”, który „wciąga świat w katastrofę nuklearną”. Skrajności polityczne rzadko się ze sobą zgadzają, zwłaszcza w Niemczech, a tu proszę, taka niespodzianka!

Aktywiści Alternatywy dla Niemiec (AfD) i wrogiemu im Sojuszu Sahry Wagenknecht – dla Rozsądku i Sprawiedliwości (BSW) została skarceni za ten nieobyczajny uczynek przez samego kancle-rza Olafa Scholza, który potępił posłów za nieuszanowanie demokratycznego wybrańca cierpiącego narodu.

Lewicowcy i faszyci zgodnie jednak twierdzą, że Wołodymyr Zełenski to parodia prezydenta wy-ni-ka z defekacji demokracji w roku 2019. Od 2022 r. przynajmniej 600 tys. mło-dych mężczyzn uciekło z Ukrainy, nie dzieląc stanowiska prezydenta, że niezawisłość i samostanowienie oraz przynależność do Unii Europejskiej wcale jest, aby demineralizowali się dwa metry pod ziemią. Dość problematyczna wydała się Niemcom sprawa kolejnych 120 tys. zdrajców sprawy ukraińskiej w wieku poborowym, którzy zbiegli przed śmiercią do zabijającej Ukraińców Rosji. Niemcy przypuszczają, że dezertery również mogliby nie popierać w wyborach człowieka, który zdaniem niektórych utracił mandat do rządzenia – zgodnie z ukraińską konstytucją – w marcu tego roku.

Samozwaniec

Konstytucjonaści biegli w prawie ukraińskim uważają, że nie było powodów do nierozpisania wyborów w częściowo ogarniętej wojną Ukrainie, skoro w będącej w stanie wojny Rosji takowe się odbyły. Są zdania, że Putin sfalszował wybory, ale przecież Zełenski też mógłby je sfalszować. Tyle że jego poparcie jest obecnie tak nikłe, iż nie znalazłby nawet tylu zauszników z karabinami maszynowymi na plecach, którzy w jego imieniu owego fałszu mogliby dokonać. Z wyborów Zełenski zrezygnował zupełnie. W konsekwencji prawicowo-lewicowi Niemcy uważają, że być może Zełenski nie jest prezydentem Ukrainy, tylko dyktatorem. Za to w odwecie nazwano ich putinowcami. Cofnijmy się o kilka lat, kiedy prezydentem Ukrainy był były członek Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego Wiktor Fedorowicz Janukowycz. Kariera polityczna i postać osobiwa. W 2004 r. jako premier wygrał wybory prezydenckie, ale prezydentem nie został. Zarzucano mu, że ukraińskie wybory zmanipulowane zostały przez Putina. Sąd Najwyższy Ukrainy uznał ich nieważność. W rezultacie powtórzonej elekcji prezydentem został jego przeciwnik Wiktor Juszczenko. W sześć lat później Janukowycz ponownie kandyduje i tym razem już bez ceregieli wy-grywa. Zostaje prezydentem.

Jako głowa państwa uważa, że naturalnym i logicznym sprzymierzeńcem Ukrainy jest Rosja. Ukraina tylko geograficznie leży w Europie. Zdaniem prezydenta, mentalność i kultura narodu ukraińskiego nie przystaje do standardów europejskich. Każda, nawet udana próba zintegrowania tych organizmów musi skończyć się jakąś tragedią. Wieszczy Ukraińcom rolę pospólstwa zjednoczonej unii, państwa trzeciej kategorii, które utraci swoją i tak słabą tożsamość, państwowość i niezależność.

Mistrz wieloboju ludzkiej egzystencji

Janukowycz jest typowym frywolnym satrapą, jakich wielu w krajach postradzieckich. Rządzi Ukrainą w podobnym stylu. Przemieszcza się po kraju w pancerner limuzynie chronionej przez kolumnę transporterów opancerzonych. Towarzyszy

mu sześciu goryli w kamizelkach kuloodpornych z izraelskimi karabinami. W miejscu wizyty przed przybyciem głowy państwa na dachach umieszcza się snajperów.

Janukowycz jest prezesem Narodowego Komitetu Olimpijskiego Ukrainy, pierwszym hokeistą Ukrainy, przewodniczącym Narodowej Akademii Nauk, szefem Akademii Nauk Ekonomicznych, asztużnym przewodniczącym Związku Transportowców Ukrainy, odznaczonym Orderem Chwały Górniczej, pierwszym inżynierem, prawnikiem, rolnikiem, kolejarzem, obrońcą praw człowieka i kobiety, pierwszym łowczym Ukrainy, a także kawalerem Orderu Świętego Równego Apostołów Księcia Włodzimierza. Przypisywał sobie również godność wiceprzewodniczącego Kalifornijskiej Międzynarodowej Akademii Nauki, Edukacji, Przemysłu i Sztuki, ale potem się okazało, że taka organizacja w ogóle nie istnieje. Jego imieniem nazwano jedną z gwiazd, a drugą – imieniem jego żony.

Podstawową wartością wyznawaną przez Janukowycza jest korupcja. Przy czym trzeba sobie uświadomić, że w owych czasach korupcja na Ukrainie była czymś na podobieństwo wielożółtych w krajach arabskich.

Nie jest dziwne, że jako prezydent Ukrainy Janukowycz przywłaszczył więcej pieniędzy niż mógłby kiedykolwiek potrzebować. Szacuje się, że wraz z 45 oligarchami przez banki na Łotwie wyprowadzono do Londynu 40 mld dolarów pochodzących z korupcji. Anglicy, którzy zasadniczo brzydzą się korupcją, podobnie jak wielożółtostwem, nie widzieli niczego niestosownego, aby owe pieniądze dobrze zagospodarować, wypłacając właścicielom dywidendę.

Nieprzejednana niechęć Janukowycza do Europy doprowadza do jego upadku. Odmawia podpisania wynegocjowanej przez parlament umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską. Doprowadza to do tak zwanego Majdanu, „rewolucji godności”, jak go okrzyknięto. Janukowycz ucieka do Rosji, pozostawiając po sobie obecnie największą atrakcję turystyczną Ukrainy: prezydencką rezydencję w Meżyhirii. Dziś muzeum.

Animator muzealnictwa

Na 140 ha za pięciometrowym ogrodzeniem znajdują się ogrody z urokliwymi strumieniami i sadzawkami, pole golfowe, świątynia grecka, marmurowa rzeźba konia z wymalowanym na niej krajobrazem tokańskim. Stado strusi, zagroda do polowania na dziki oraz pięciokondygnacyjna drewniana willa. Rewolucjoniści odnale-

li w willi tony złotych świeczników i talerzy, posągi greckich bogów, setki ikon. Warte miliony dolarów obrazy renesansowych rosyjskich malarzy oraz jeden Picassa. Dziewięć telewizorów, z czego dwa naprzeciwko złotych sedesów na wysokości dogodnej dla siedzącego. Jedną z sal zwiedzający utożsamiali jednoznacznie z burdelem, a to za sprawą fresków przedstawiających kobiety na ogół bez ubrania, utrzymanych w purpurowo-pastelowej stylistyce. Był też wypchany krokodyl.

Zachodnioeuropejscy dziennikarze, którzy zwiedzali obiekt, nazywali go zgodnie: „sanktuarium złego smaku”, „katedra kiczu”, „apogeum przesady”. To są dość ważne spostrzeżenia. Chodzi o manifestację umysłowości demokratycznie jednak wybranego prezydenta państwa dysponującego nieograniczonymi środkami do sprawiania sobie luksusu. Ten zapewne ścierpiałby wszystko, ale nie to, że jest kiczowaty i w złym smaku. Janukowycz zapewne tak nie uważa. To jest nasza europejska ocena, jakże niezgodna z opiniami, jakie Ukraińcy mają sami na swój temat.

Jakkolwiek Janukowycz przez postrewolucyjne sądy uznany został za przestępcę godzącego w integralność Ukrainy, nie można nie zauważyć, że pozostawił państwo w stanie stałego dwuprocentowego wzrostu gospodarczego, mające dobre stosunki z Rosją, która była najważniejszym partnerem gospodarczym Ukrainy.

Dostarczała jej surowców po bardzo zaniżonych cenach i kredytów o wartościach wielce nierynkowych.

Wprawdzie Janukowycz był według naszych wyobrażeń prezydentem złym, to kierował swoim – mówiąc wprost – gorzej rozwiniętym państwem w jego interesie, jak również z wyobraźnią skutków, które mogłyby zaistnieć w przypadku wyrzeczenia się kompromisów.

Człowiek awatury

Pięć lat po jego abdykacji prezydentem zostaje nie-polityk, który sam się przyznaje do nieznamośności polityki, ekonomii i zagadnień gospodarczych, kontynuujący kurs „rewolucji godności” we właściwym sobie teatralnym stylu.

Bezkompromisowa walka o tę godność doprowadziła do zachwiania integralności terytorialnej Ukrainy przez utratę dwóch znaczących obszarów gospodarczych. Arogancka postawa przystająca satyrykowi, a nie licująca z powagą prezydenta, rozsierdziła Putina, który w imię swoich czysto osobistych interesów wywołał wojnę. Kosztowało to życie, według różnych szacunków, nawet pół miliona obywateli obu państw. Straty materialne szacowane są przez Ukraińców na bilion dolarów. Według wyobrażeń Zełenskiego Rosja będzie musiała je zrekompensować (czekaj tatka latka).

Populacja Ukrainy zmniejszyła się o 3 mln obywateli. Spadek PKB jest na poziomie 12 proc. w porównaniu z czasami przedwojennymi. Jedynym towarem eksportowym Ukrainy godnym uwagi Europy i świata jest nieprzetworzona żywność po dumpingowych cenach, która rujnuje wspólnotowe

rolnictwo. Pod rządami tego męża stanu jedynymi importowanymi dobrami są miliony ton stali w postaci czołgów, dział i amunicji oraz luksusowe samochody. Kupowane za kredyty, które tak czy siak przyszłe pokolenia Ukraińców będą musiały spłacać ciężką pracą.

Służy to tak naprawdę jednemu człowiekowi, który stał się twarzą Ukrainy, lansującemu tezę, że „Putin na Ukrainie nie poprzestanie”. Założmy jednak, że w jakichś sprzyjających okolicznościach Putin umrze, co jest warunkiem zasadniczym przywrócenia pokoju. Co wtedy?

Futuryzm naiwny

Te wszystkie rojenia o planie odbudowy Ukrainy są podobne pomysłem uczynienia swego czasu Sahary obszarem Afryki miodem i mlekiem płynącym. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zainwestuje w państwo, które na najbliższe 70 lat ma znienawidzonego wroga za swoją najdłuższą granicą. Niegdyś funkcjonowałem w Polsko-Ukraińskiej Izbie Handlowej, która zasadniczo zajmowała się sprawami podobnymi do tego poważnego biznesmena z Włodawy, który aby uciec przed polskim fiskusem, nadwyżki zainwestował na Ukrainie. Wrócił stamtąd z tym, w co był ubrany. I to była norma, a nie odosobniony przypadek.

Janukowycz miał rację. Ukraina to nie Europa. Jasno widać, że oba organizmy wzajemnie sobie szkodzą. Gdybyśmy chcieli wyliczyć korzyści obu z obecnego niezamierzonego a wymuszonego aliansu, mówić tylko można o taniej sile roboczej alokowanej w niezbyt prestiżowych profesjach. Wykorzystywanej i pomiatanej przez europejskich przedsiębiorców, również polskich.

Można odnieść wrażenie, że dla prezydenta Zełenskiego pokój nie jest opcją. Będzie szafował życiem współobywateli, dopóki się nie dowie, że w Europie dopuszcza się jednak, iż Ukraina może przegrać. Honor i godność to są istotne wartości. Dobre dla majorów i kapitanów. Generałowie jednak nie powinni myśleć w takich kategoriach. Czasami, jak to wszyscy wiemy, trzeba się poddać pomimo posiadanej słuszności.

Realnie Ukraina ma dwie możliwości. Rządy obecnego ignorantą wspieranego przez ignorantów, przelewającego krew niechcących tego ludzi albo rządu złodzieja Janukowycza. Zamieszkuje on w posiadłości za 70 mln dolarów pod Moskwą. Putin mniema, że nadal posiada nieutracony mandat prezydenta Ukrainy i chciałby przywrócić go na urząd.

Zastanawia mnie, która z tych opcji z punktu widzenia zwykłego człowieka i pomyślności ludzkości jest tak naprawdę lepsza.

ROBERT JARUGA
robert.jaruga@doborowa.com.pl

MÓZDZEK TYGODNIA

Posel Suwerennej Polski Dariusz Matecki to niegodziwy hejter. Za ponurą rolę, którą odegrał w sprawie samobójstwa syna posłanki Magdaleny Filiks, nikt przyzwoity nie powinien podawać posłowi ręki, a jego nazwisko przemilczać nawet w rozmowie o pogodzie.

Po tym, jak się wydało w tym tygodniu, że Matecki między trzecią i czwartą nad ranem spacerował po dachu budynku sejmu, wyszło na jaw, że jest nie tylko łotrem, ale również durniem. Sprawą dachowca zainteresował się marszałek Szymon Hołownia: najpierw opisał eskapadę o świcie, a następnie postraszył Mateckiego karą finansową wynoszącą od 12 do 18 tys. zł.

To nierozumne. Może teraz duren Matecki przestraszy się utraty pieniędzy i już więcej się nie uchla. I na dach sejmu nie wejdzie. I się z niego nie spierdoli. I nie uczyni tego dnia szczęśliwym z powodu ulgi, jaką wówczas byśmy odczuli.

Jak kocha Bartek

Kolega Bartek – trójka na opolskiej liście PiS w wyborach do sejmiku w 2015 r. – ma dokładnie tyle lat, co ja i nawet urodził się w miasteczku nieodległym od mojego rodzinnego Wrocławia, do którego jeździło się kupować buty. Dlatego właśnie piszę „kolega”, a nie żebym miał zaraz osobiście okoliczność. Nie mogę za to napisać, jak Bartek ma na nazwisko, bo właśnie wznowiono jego proces z czternastoma różowymi zarzutami. A jeden jest nawet ciemnoróżowy, bo opiewa na gwałt na nieletniej, z użyciem pigułki gwałtu zresztą. A czemu wznowiono? A temu, że sądzono go za PiS i jakoś udało się „przyczyn proceduralnych” tak zachachnąć, że apelacja uchyliła wyrok pierwszej instancji za gwałt. Ale PiS się skończył i teraz Sąd Najwyższy nakazał sprawę procedować od początku. A jest co, bo Bartek robił sobie fajne nagrania swoich dokonań i pech chciał, że trafiły one w ręce policji. Tylko dziewczyn szkoda, bo będą musiały znowu chodzić do sądu i patrzeć na przystojniaczka.

Bartek twierdzi, że jest niewinny, bo liczne poznane przez niego nastolatki lubiły ostry seks, podobnie jak on. Wiemy, wiemy. Po prostu wypadek przy pracy – ten jeden jedyny raz Bartek nie sprawdził legitymacji i mała wrobiła go w pedofilię. A to mała! Zresztą Bartek jest znanym aktorem filmowym, więc wolno mu więcej. Wiadomo, że ze sławną osobą to każda chce i po prostu majtki przez głowę. A on tylko się zgadza i dogadza. Takie jest życie i takie są prawa aktorskie. Zwłaszcza gdy aktorstwo łączy się z najwyższymi wartościami, jak na działacza PiS przystało: Bóg, rodzina, ojczyzna i co tam jeszcze.

Bartek jest specjalistą w temacie i pewnie w końcu trafi za kratki. Ale po świecie chodzą całe tabuny facetów w średnim wieku, którzy notorycznie polują na nastoletnie dziewczyny. Najczęściej nie popełniają żadnych przestępstw i nie uciekają się ani do pigulek gwałtu, ani do podstępów. Po prostu ładnie się ubierają, ładnie pachną, mają ładne samochody, dużo pieniędzy i puste mieszkanie nieopodal klubu. Nie uważają się może za świętych, ale kto dziś jest święty?

Drogi Kolego Bartku i drodzy Koledzy Podrywacze! Powiem Wam kilka słów prawdy na temat tego, co robicie. Otóż nic tu nie jest w porządku i nie o to wcale chodzi, że zabawiacie się nieobyczajnie, a może nawet zdradzacie swoje partnerki, bo to w końcu wasza sprawa prywatna, a pruderia to nie w „NIE”. Rzecz w tym, że jesteście, nomen omen, ch...ami, które za pomocą gąbczastego instrumentu, do

którego sprowadza się wasze jestestwo, krzywdzą i niszczą psychicznie niedoroseł dziewczyny. Dziewczyny, które cokolwiek lubią albo nie lubią, jeszcze kilka lat wcześniej były dziewczynkami i mają psychikę delikatną i wrażliwą jak nie przymierzając twój koniuszek, Bartusiu, jeśli w ogóle ci jeszcze nie obrósł łuską. I nie ma przy tym znaczenia, jakie robisz grymasy, jak przeklinają, co wypinają albo rozkładają. Jesteś aktorem i sam wiesz najlepiej, że nie zawsze człowiek czuje to, co pokazuje. A gra się nie tylko na scenie.

Seksoholiczne cwaniaki, które jak se nie ulżą byle jak, byle gdzie i za każdą cenę, to im się ręce pocą i spać nie mogą, znają łacińską zasadę *Volenti non fit iniuria*, czyli „chcęmu nie dzieje się krzywda”. Inaczej mówiąc, „sama chciała, więc nie ma sprawy”. Otóż sprawa jest, bo gdy chodzi o seks z młodocianymi, to ani chcenie nie jest oczywiste, ani nie jest oczywista zdolność takiej dziewczyny do podejmowania świadomych, suwerennych decyzji. I właśnie to drapieżcy seksualni w wieku ich rodziców umieją wykorzystywać.

Zresztą wiesz o wiele lepiej ode mnie, jak to jest, gdy już zapinasz rozporek, a ona się wstydliwie ubiera. To jest ten moment, gdy rozumiesz, co zaszło i kim tak naprawdę jesteś. Ten moment prawdy, gdy testosteron na chwilę opadł i jeszcze ci się nie nazbierało. Wtedy przez chwilę pojmujesz, jakim jesteś draniem i co robisz tym dzieciom. A potem zapominasz i zaczynasz od nowa.

No dobra, może nie wiesz dokładnie, co im robisz. To ja wyjaśnię. Otóż nastolatka decydująca się na przypadkowy seks z mężczyzną w wieku swego ojca prawie zawsze sygnalizuje w ten sposób zły stan swoich relacji z prawdziwym ojcem. Na chwilę to ty stajesz się „tatuśkiem” w ramach chaotycznej i rozpaczliwej próby podejmowanej przez dziewczynę, aby odreagować krzywdy doznane ze strony ojca albo molestującego ją w dzieciństwie „wujka”, „ukarać” go w ten sposób bądź po prostu za pomocą autodestrukcyjnego zachowania wyrazić swój ból. A ty, cwaniaczku Bartku, po prostu to wykorzystujesz. I dobrze o tym wiesz, nawet jeśli przykrywasz to pogardą dla „małej zdziury”. Ale nie ma na świecie „małych zdziur”. Jak masz 15 lat, to wciąż jesteś tylko ofiarą starszych. Z tobą włączają. Dziewczyna była krzywdzona i ty krzywdzisz ją dalej. Dobrze się to nazywa: wykorzystywanie. „On ją wykorzystał” – mówiło się na to kiedyś. Trochę za mało dosłownie, ale za to celnie.

I do czego to prowadzi? Kontakt fizyczny z mężczyzną w średnim wieku jest dla nastolatki nie tylko szkodliwy ze względu na relacje rodzinne, ale uszkadza jej seksualność. Tobie się wydaje, że pokazujesz dziecku, jak się pewne rzeczy robi. Tobie się wydaje, że jesteś nauczycielem seksu. A ty jej tylko fiuta pokazujesz! Seksualność osoby wykorzystywanej we wczesnej młodości jest zaburzona na wiele lat, a czasami na całe życie. Skojarzenie z przemocą, krzywdą, wykorzystaniem staje się tak trwałe i silne, że miejsce czułości, miłości i intymności w pożyciu zajmuje u takich osób lęk, samotność i złość, często maskowane wyuzdaniem i tym, co nazywasz ostrym seksem. Bardzo trudno wyjść z takich zahamowań i deficytów, zwłaszcza jak nie jest się zamożną panią, którą stać na wizyty u seksuologa i psychoterapię.

No wreszcie rzecz najmniej w tym wszystkim ważna, czyli ty, kolego Bartku. Jesteś zaburzony i powinieneś się leczyć! Dorosły facet, który będzie zdejmował gacie i pchał się z fiutem do niedoroślej nastolatki, czyli potencjalnie własnego dziecka, jest świrem. Owszem, może i ty jesteś ofiarą krzywd doznanych w dzieciństwie. Ale miałeś czas, by się ogarnąć. Gdy taki koleś jak ty ma 45 lat czy 50 lat, to jego traumy są już tak przeterminowane, że niczego nie usprawiedliwiają. Nie znaczy to, że traum tych nie należy leczyć. Łajdacy też mogą chodzić na psychoterapię. Nikt nie powiedział, że terapia jest tylko dla porządných ludzi. Tylko najpierw, Bartek, musisz spojrzeć w lustro i powiedzieć sobie: „jestem zaburzonym draniem i muszę z tym skończyć”. Przyjemnego procesu i szczęśliwej odsiadki, mój kranjanie i rówieśniku, kolego Bartusiu z PiS!

JAN HARTMAN

Prąd z

Dzięki złodziejstwu państwowych firm wszyscy jesteśmy kibicami.

Od 1 lipca rachunki za energię elektryczną wzrosną o ponad jedną czwartą, a za gaz – o 15 proc. I to mimo tego, że na świecie ceny energii i jej nośników są takie jak pięć lat temu.

Polską, w przeciwieństwie do innych krajów, musi jednak pozyskiwać prąd z węgla. Węgla, który w polskich kopalniach jest tak drogi, że nikt z zagranicy nie chce go kupować. W takiej sytuacji rząd powinien wymusić na zarządach podległych sobie spółek cięcia kosztów. Po to, żeby ludzie jak najtaniej płacili za prąd i gaz, a nie za widzimisie prezosów podpuszczanych przez swoje działy marketingu.

Popyt kibica

W górnictwie węglowym działają dwa wielkie koncerny: Jastrzębska Spółka Węglowa i Polska Grupa Górnicza. Pierwsza jest spółką giełdową, w której skarb państwa ma ponad połowę akcji. Druga jest spółką należąca do spółek skarbu państwa. Węgiel, który wydobywają obie grupy kapitałowe, trafia do odbiorców hurtowych oraz – w milionach drogiej, więc niesprzedawalnych ton – na przykopalniane hałdy. W większych punktach, gdzie można go kupić, nikt nie zadaje pytań, czy ten groszek jest z PGG, czy z JSW. Nie pytają o to nawet najzagorzalsi kibice żużlowców ROW Rybnik, który dostaje wielką kasę z tytułu sponsoringu.

Czy może mieszkający na Podlasiu fani siatkówki w wykonaniu Jastrzębskiego Węgla, na pewno będą przemierzali dziesiątki kilometrów w poszukiwaniu ekogroszku z JSW, bo tak nakazuje im honor kibica?

Czy miłośnik Górnika Łęczna z Pomorza, będzie jeździł po kraju, szukając węgla ze sponsorującej klub kopalni Bogdanka?

Na szczęście takiego dylematu od 1 lipca nie będzie miał fan ZAKSY Kędzierzyn-Koźle. Nie będzie więc musiał przeprowadzać się na wieś, kupować hektarów ziemi ornej, by nawozić ją produktami Grupy Azoty, aby zrewanżować się jej za wspomaganie milionami złotych ukochanego klubu. A to dlatego, że w kwietniu Azoty zrobiły coś w Polsce niespotykanego – wypo-

wiedziały klubom sportowym wszystkie umowy sponsorskie.

Gdy przejrzy się ligowe tabele różnych dyscyplin sportowych, można dojść do przekonania, że startują w nich sami nasi państwowi giganci. Energa Toruń – hokej na lodzie. PGE Spójnia Stargard i Enea Stelmet Zastal Zielona Góra – koszykówka męska. KGHM BC Polkowice, Polska Strefa Inwestycji Enea AJP Gorzów Wlkp., Enea AZS Politechnika Poznań – koszykówka kobieca.

Piłką ręczną aż roi się od państwowych wielorybów: Orlen Wisła Płock, KGHM Chrobry Głogów, Energa MKS Kalisz, Energa Wybrzeże Gdańsk...

Potenci ni nie ograniczają się jednak do reklamowania się na koszulkach sportowców. Powykupywali nazwy poszczególnych gryzrywek. Ekstraklasa piłkarska to PKO BP Ekstraklasa. Kobieca liga piłki ręcznej to Orlen Superliga. Koszykarze walcą w Orlen Basketlidze. A siatkarki – w Tauron Lidze. Żużlowcy śmigają zaś w PGE Ekstralidze.

Żeby wszystko było jasne, do wyliczanki tej warto dodać kilka cyferek świadczących, czyja kasa jest wydawana na sportowe fanaberie. KGHM to spółka zarządzana przez skarb państwa. PGE jest państwowa w 61,89 proc. Orlen – wiadomo. Enea ma państwowy akcjonariat w wysokości ponad połowy. Tauron nieco mniej, ale też rządzi nim państwo.

Wymagowane profity

Reklama służy temu, żeby być lepszym od konkurencji. Gdy się jednak jest monopolistą, to konkurencji się nie ma. Można zatem zaoszczędzić na reklamie.

Jeśli wydobywa się jakąś skalę i przetapia się ją potem na miedz i srebro, to wypadałoby powalczyć tylko o tych, którym taki surowiec jest do czegoś potrzebny. Ile takich firm jest w Polsce? Kilka, kilkanaście? Czy, żeby do nich dotrzeć, trzeba wydawać dziesiątki milionów złotych na promocję?

Nawet ktoś, kto nie jest absolwentem marketingu i czegoś tam, odpowie, że w wymienionych sytuacjach wydawanie forsy na reklamę jest idiotyzmem.



Błogostawieni cierpliwi, albowiem

GADMAN

Na froncie walki o równe prawa dla osób LGBT

Tegoroczną warszawską Paradę Równości spędziłem w sekcji weteranów. I patronów honorowych Parady. Jechałem na platformie ruchomej. Wraz z innymi wybitniakami. Piosenkarką Luną, wicepremierem Gawkowskim, ministrami Kotulą, posłanką Piekarską, prezydentem Trzaskowskim, gronem ambasadorów. No i z profesorem Joanną Senyszyn, też weteranką, toteż nudno tam nie było.

Zostałem patronem tej Parady dzięki weteranowi ruchu gejowskiego Tomaszowi Bączkowskiemu, współorganizatorowi tegorocznego marszu. Pierwszemu gejoji, którego poznałem i polubiłem potem wielce.

„W Polsce, w przeciwieństwie do wielu europejskich, nawet tych demokratycznych, państw, homoseksualiści nie byli represjonowani przez prawo. Ani w okresie międzywojennym, ani w Polsce Ludowej. Nawet w czasie stalinowskich represji nie było w polskim kodeksie karnym paragrafów karzących za związki homoseksualne. Jedyną

znaczącą operacją inwigilującą środowiska homoseksualne, była akcja „Hiacynt”. Skierowana przede wszystkim przeciwko opozycji politycznej w latach 1984–85. Homoseksualizm był wtedy powodem do szantażowania, skłaniania do współpracy z policją polityczną ludzi związanych z opozycją, zwłaszcza księżmi katolickimi. Skoro było, i jest aż „tak dobrze”, czemu homoseksualiści czują się w Polsce obywatelami drugiej kategorii? Czemu ukrywają swą orientację seksualną? Czemu w Polsce pomimo formalnych wolności do zrzeszania się mamy słabe stowarzyszenia grupujące homoseksualistów? Czemu ich głos słychać jedynie na lamach tytułów bojkotowanych przez inne pisma opinii. Czemu głos ten jest w największych mediach przemilczany?” – tak pisaliśmy w 2000 r. w „Homosolidarności”, głosie polskich parlamentarzystów w dyskusji zorganizowanej przez organizację ILGA Europe w Bukareszcie.



Moje gejowanie

Pierwszy raz głos polskich lesbijek i gejojów zabrzmiał w dyskusji zorganizowanej przez tygodnik „NIE” i na naszych łamach w 1991 r. opublikowanej. Pamiętam, że nie wszyscy jej uczestnicy zdecydowali się zgodzić na publikację swych twarzą. Bo, jak pisaliśmy potem w „Homosolidarności”: „W Polsce być homoseksualistą to wstyd. Grzech. W Polsce normy moralne, obyczajowe, kulturowe tworzy przede wszystkim kościół katolicki. Wedle niego homoseksualizm jest zbroczeniem, ewentualnie ciężką, niezawinioną chorobą. Dlatego w Polsce rzadko kto chce przyznać się do orientacji homoseksualnej. Z obawy o utratę pracy, bojkot towarzyski, przykrości ze strony otoczenia. W efekcie problem dyskryminacji homoseksualnej w Polsce oficjalnie nie istnieje. Cóż z tego, że „wszyscy” wiedzą, że ten piosenkarz, reżyser, biskup jest gejem. Oficjalnie być nie mogą”.

Dzięki Tomkowi Bączkowskiemu pojechalismy w 1998 r. do Berlina na spotkanie europejskich środowisk homoseksualnych zorganizowanych przy okazji święta tego miasta. Niemieckie organizacje prezentowały się tam licznie, proponując swój wkład w zarządzanie miastem.

wkładką sponsorską

Według danych z Brukseli co roku sektor sportowy Unii wytwarza wartość dodaną w wysokości prawie 900 mld euro. Juventusy, Barcelony czy inne Bayerny są firmami bogatymi obrzydliwie.

U nas, najbardziej dochodowa dyscyplina na świecie, czyli piłka nożna, bez ciągłego dotowania by się nie utrzymała. 38-milionowy kraj nie doczekał się klubu, który sensownie reprezentowałby go w przynoszących krocie, najbardziej elitarnych europejskich rozgrywkach – Lidze Mistrzów. Gra reprezentacji od lat przyprawia kibiców o palpitanie serca i to nie dzięki pojedynkom toczonym ze światowymi potęgami, a przez porażki z coraz słabszymi rywalami.

A jednak państwowe molochy wkładają w kluby ekstraklasy ciężkie miliony. Nie dostrzegają tego, co już lata temu zauważyło ITI pozbywając się Legii i Solorz, który dał sobie siana ze Śląskiem Wrocław. Oni dostrzegli, że pompowanie kasy w polski futbol nie ma żadnego sensu biznesowego.

Nawet Bogusław Cupiał, mimo zafiksowania na punkcie Wisły Kraków, też w końcu zaczął liczyć topione w klubie pieniądze i rzucił to w cholerę.

Nie grozi to państwowym monopolistom. KGHM, Energa, czy Tauron zawsze znajdują to samo wytłumaczenie. Dzięki dotowaniu sportu poprawia się wizerunek firmy. Znajdzie się też firma Deloitte, czy inny Grant Thornton, która dokona stosownych badań i wykaże, że utopione pieniądze, tak naprawdę nie są stratą, a najczystszy z zysków.

W raporcie podsumowującym sezon 2022/2023 czytamy, że partnerzy siatkarskiego Ślepska Małow Suwałki wypracowali wartość mediową na kwotę... 89 milionów 119 tysięcy 139 złotych i 32 groszy!

Średnia wartość ekspozycji marek sponsorów i partnerów Stali Gorzów w 2022 r. wyceniono na ponad 4 mln zł, natomiast klubowe media społecznościowe wygenerowały wartość w wysokości 7,8 mln zł!

Co z tych wydumanych przez badaczy parametrów zobaczy skarbowka? Oczywiście ani złotówki, bo wszystkie te wyliczenia są równie wirtualne jak kasa z nich.

Nikt nie zada sobie prostego pytania, po jaką cholerę tym firmom kampanie wizerunkowe. Jak różnica w wizerunku JSW i PGG wpłynie na to, czy elektrociepłownie będą kupowały miał w jednej lub drugiej firmie?

Czy napis KGHM na koszulkach skłoni kogoś do pójścia do sklepu osiedlowego i nabycia pół tony miedzianej walcówki? Brak promocji marek PGE, Energi i Tauronu też nie sprawi, by któraś z firm straciła monopolistyczną pozycję na swoim terenie. Wydawać by się mogło, że Orlen powinien się reklamować, bo w sprzedaży paliw jest konkurencja. Otóż wcale nie jest. Wszyscy posiadacze dystrybutorów z ropą i benzyną kupują te paliwa od płockiego monopolisty. A zatem to, czy Orlen jest dla nas cacy czy be, nie ma najmniejszego znaczenia, bo tankując na Shellu, też tankujemy na Orlenie.

Na państwowy szmalec płynący do wybranych wkurzeni są też ci, którzy sądzili, że na sporcie można zarobić. Tworzyli mocne zespoły, wyszukiwali talenty i ciułałi każdy grosz. Jednak choćby stawali na uszach i tak mogą nagwizdać klubom, które dzięki układom dostają pieniądze z nieba, na które nie zapracowali, a dzięki którym stać je na najlepszych graczy i trenerów. Konia z rzędem temu, kto pokaże jednak choć jedną sprawę o sportową nieuczciwą konkurencję wytoczoną przez UOKiK klubowi lub koncernowi.

Kasa, Misiu, kasa!

Skoro tak naprawdę nie idzie o żadne promocje, czy kreacje wizerunkowe, to może chodzi o wynik sportowy. O to, żeby pracownicy młodzi ludzie odnosili sukcesy, którymi będziemy się cieszyć wszyscy? Niekoniecznie. Bo wszak tak naprawdę nie o sportowców tutaj chodzi. Pieniądże spływające do klubów to władza. Dzięki tej władzy szefostwa państwowych gigantów uzyskują setki posadek dla siebie i przyjaciół. A posadek tych jest dużo, bo większość firm sportowych to spółki. I jak to w spółkach, do obsadzenia są stanowiska zarówno w zarządach jak i radach nadzorczych.

O ile w 2001 r. polski sport był sponsorowany jedynie 200 mln zł, to w ubiegłym roku zrobiło się tego już 13,5 mld zł. Szacunki mówią, że połowę tego tortu fundują spółki skarbu państwa. Oczywiście ku chwale ojczyzny i własnego wizerunku.

Gdyby wziąć te zapewnienia za dobrą monetę, należałoby uznać, że BMW nie zna się na robieniu interesów, a władze



firmy to idioci, bo tylko idiota nie wykorzystuje szansy na zarobienie pieniędzy poprzez sponsorowanie sportu. Produkcja fajnej autka firma w czasie kryzysu, żeby nie zwalniać pracowników, wycofała się z Formuły 1. Według naszych specjalistów od marketingu sportowego, na takiej decyzji straciła setki milionów euro. Klakierzy sponsoringu wciskają kit, bo jednak to ci z BMW i z Azotów mają rację. Wizerunkowy zysk jest zyskiem wirtualnym. Realne są tylko wydatki. A te oznaczają stratę. Nie tylko prywatny biznes doszedł do tych wniosków.

15 lat temu Mirosław Drzewiecki, gdy był ministrem sportu, uznał, że sponsoring i reklama firm np. energetycznych, które mają monopol na rynku, niczemu nie służy. Dodał, że z tego powodu w polskim sporcie dochodzi do nadużyć i pora zmienić to ustawowo, bo chodzi o pieniądze podatników. Po nim już nikt do tematu nie wrócił.

Od tamtej pory do kieszeni paru sportowców, a przede wszystkim wierzuski działaczowskiej trafiły setki milionów złotych. Regulacji zabraniającej sponsorowania nie ma, są za to horrendalne podwyżki prądu i gazu, dzięki którym nawet jak ktoś nie lubi sportu, to i tak w ramach opłaty za kilowatogodziny zrzuca się na gigantyczne wynagrodzenia dla sportowych leńszych dziadków.

Wydatki na sponsoring sportowy trudno uznać za racjonalne, jeżeli czynione są przez przedsiębiorstwa będące naturalnymi monopolistami lub przez przedsiębiorstwa niesprzedające produkty konsumpcyjne. Jeśli jednak do zrzucania się milionami złotych na fanaberie zmuszani są wszyscy korzystający z prądu, gazu i benzyny, to jest to po prostu rabunek.

TADEUSZ JASIŃSKI

oni...

Przy okazji przybyli homoseksualni parlamentarzyści z innych państw. Wśród nich był senator Dawid Norris z Irlandii. Pierwszy zdeklarowany, jawny gej w tym arcykatolickim państwie. Polski parlament reprezentowali Joanna Sosnowska, Cezary Stryjak i Piotr Gadzinowski. Wszyscy z klubu parlamentarnego SLD. I wszyscy heteroseksualni.

Ta nasza hetererycka orientacja wzbudzała najpierw zdziwienie, a potem lekki podziw. Ze hetererycy z tej katolickiej Polski, z „dzikiego Wschodu”. Jeden z uczestników tamtego festu napisał mi; „Nawet w najśmielszych marzeniach nie śniło mi się istnienie takiej garstki Posłów odważnych, myślących po europejsku”.

Dla nas współpraca z Tomkiem Bączkowskim, a potem z polskimi, niemieckimi, europejskimi gejami była uniwersytetem rozszerzającym nasze horyzonty umysłowe.

Zdarzało się, że podczas pobytów w Berlinie nocowałem w mieszkaniu Tomka i jego partnera Tomasa. W tamtych latach katolicka nauka społeczna przestrzegała przed kontaktami z gejami, bo groziło to heteroseksualnym osobnikom zarażeniem się „chorobą homoseksualną”. Jestem żywym, ciągle heteroseksualnym dowodem na idiotyczność takich katolickich „nauk”.

Pakty solidarnościowe

W 2000 r. nasza hetererycka trójka sejmowa pisała w „Homosolidarności”, nawiązując do niedawnych wyborów prezydenckich w Polsce: „Spośród trzynastu kandydatów, tylko obecny prezydent Aleksander Kwaśniewski i lider radykalnej lewicy Piotr Ikonowicz wyrazili swe poparcie dla praw homoseksualnych. Nie uczynił tego nawet kandydat liberalnej inteligencji i biznesu Andrzej Olechowski. Powód takich wyborów jest w Polsce zrozumiały. Wedle badań opinii publicznej z 1999 roku wyborcy gotowi są wybaczyć politykowi skłonność do korupcji, zdrady małżeńskiej, alkoholu, ale aż 67 procent nie wybaczy mu orientacji homoseksualnej”.

Pomimo tak niekorzystnych sondaży, jeszcze w 2000 r. w naszym Parlamentarnym Zespole na rzecz Wolności Światopoglądowej przygotowaliśmy dwa projekty ustaw legalizujących związki homoseksualne.

Pierwszy wypracowany był na projekcie czeskiego parlamentu. Małżeństwa jednopłciowego nie określaliśmy jako małżeństwa, bo chcieliśmy uniknąć kolizji z zapisem polskiej konstytucji, gdzie małżeństwem określany jest związek kobiety i mężczyzny. Tamtej projekt wykluczał adopcję i wychowanie dzieci w związkach homoseksualnych. Był napisany niekonfrontacyjnie.

Drugi projekt napisaliśmy jako część paktu ustaw antydyskryminacyjnych. Gwarantujących prawa mniejszościom narodowym, kulturalnym, religijnym, seksualnym. Aby tak ośwoić społeczeństwo polskie z prawami osób homoseksualnych. Wzorowany był na francuskich Paktach Solidarno-

ści (PACS). Przewidywał, że każda para, zarówno homoseksualna, jak i heteroseksualna, może zawrzeć świątki związek równoprawny z tradycyjnym małżeństwem. Ten projekt też miał oswoić polskie społeczeństwo z innym niż tradycyjne katolickie małżeństwo.

Wtedy, w 2000 r., pisaliśmy: „Oczywiście w obecnym parlamencie te projekty nie mają szans na powodzenie. Gdyby jednak sprawdziły się prognozy przedwyborcze i SLD oraz lewicowa Unia Pracy zyskałyby w 2001 r. większość w przyszłym parlamencie, to „pakty solidarnościowe” nabrałyby nowego znaczenia. Wtedy geje i lesbijki mogłyby korzystać z pełni praw obywatelskich. Nie byłoby zmuszeni do ukrywania swej orientacji seksualnej”.

W 2001 r. SLD i Unii Pracy wygrały wybory. Ale nie miała większości w Sejmie. Musiała współrzędzić z konserwatywnym PSL. Przeciwnym naszym projektem. Dlatego choć mieliśmy projekty ustaw regulujących związki partnerskie i prezydenta Kwaśniewskiego gotowego podpisać taką ustawę, to większości dla jej uchwalenia nie było.

Pozostało nam propagować ją. Pisałem o niej wiele razy. Wszędzie gdzie mogłem. Nie tylko na łamach „NIE”. Także w „Trybunie”, w „Przeglądzie”.

W 2004 r., kiedy zbliżało się referendum o wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej, kiedy liczył się każdy głos za wstąpieniem, otrzymaliśmy poufną informację od światłego kierownictwa SLD: mamy zaprzestać propagowania tych „paktów solidarnościowych”, bo to jeden z warunków poparcia papieża JP2 i hierarchów polskiego kościoła kat. wstąpienia Polski do Unii Europejskiej.

No i złożyliśmy te „niebezpieczne związki” na ołtarzu wUniiwstąpienia.

Bój to będzie ostatni?

Po szczęśliwej akcesji do Unii Europejskiej nasze SLD rozpadło się. Czarek Stryjak i Asia Sosnowska nie dostali się do nowego sejm. Senator Maria Szyszkowska też straciła mandat. A ja w nowym sejmie znów byłem w opozycji.

Pocieszałem się potem, że małżeństwo społeczeństwa polskiego z Unią Europejską z biegiem lat zdemokratyzuje je i zlaicyzuje.

20 lat minęło jak jeden dzień. W międzyczasie wyrosły nowe pokolenia obywateli i aktywistów LGBT. Polscy politycy, artyści, celebryci przestali wstydzili się swej homoseksualnej orientacji. Jedynie polscy biskupi katoliccy jeszcze lękają się.

W tym sejmie znów są projekty ustaw regulujących związki partnerskie. I znów koalicyjny PSL jest przeciwny. A także urzędujący prezydent.

Ale Drodzy Przyjaciele! Nie lękajcie się tym razem!

Sondażowa większość obywateli polskich jest za zaprzestaniem dyskryminacji środowisk LGBT. Największe media też są za. Nawet politycy nielewicowi są za. A Kościół kat. stracił autorytet moralny i powagę.

Zatem jeszcze co najwyżej kolejne 20 lat i Królestwo Równości dożyjemy.

Błogosławieni cierpliwi!

PIOTR GADZINOWSKI

WIEŚCI GMINNE I INNE

■ Dożywocie grozi 23-latkowi spod Lublina, który zaatakował śpiącego ojca. Ranil go nożem w gardło. Ojciec przeżył, bo się obudził. Potem chciał w samoobronie zaszlachtować syna. Ten uciekł. Sprawa jest dość zawiła, ale prokuratura aresztowała syna. W naszym rozumieniu sprawy ojcostwa i synobóstwa powinny być traktowane przez prawo w sposób odmienny niż inne bójstwa. Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności życia na tym łez padole, usiłowanie uśmiercenia twórcy niedoli, który stał się jej autorem przez ojcostwo, jest bardziej uzasadnione niż w innych przypadkach. Wewnątrzrodzinne mordy traktowane być winny z niejaką łagodnością.

■ Fundacja Dobre Państwo, ustanowiona przez Związek Przedsiębiorców i Pracodawców Wielkopolski, skierowała do Sejmu RP petycję w sprawie bezpłatnego dostępu do toalet na dworcach kolejowych należących do PKP. Zdaniem eksperta od transportu zbiorowego Piotra Rachwalskiego inicjatywa jest słuszną, ale należy zastanowić się nad sposobem finansowania i organizacją funkcjonowania toalet. My już żęśmy się zastanowili. Bezpłatność dworcowych kibli można by osiągnąć finansując je z budżetu Fundacji Dobre Państwo. Prace porządkowe mogłyby wykonywać na zasadach wolontariatu przedsiębiorcy i pracodawcy z Wielkopolski, którzy powołali rzeczoną organizację.

■ Według danych opublikowanych przez Komendę Główną Policji w 2022 r. zatrzymano 97 856 pijanych kierowców. 19 tys. więcej niż rok wcześniej (wzrost o 25 proc.). Policjanci analitycy zastanawiają się nad przyczynami tego nadzwyczajnego przyrostu alkoholowych przestępstw drogowych. Jednocześnie policja podaje, że nietrzeźwi kierowcy powodują tylko 7,3 proc. ogółu wypadków drogowych, co oznacza, że 92,7 proc. wypadków powodują osoby absolutnie trzeźwe. Logicznie rzecz biorąc, należałoby się zastanowić, czy trzeźwych w ogóle powinno się w takim stanie dopuszczać do kierowania pojazdami. Czy ta cała polityka nękania kierujących pijaków to nie jest jakiś fundamentalny błąd systemu?

■ Dowódca Sił Powietrznych Ukrainy generał Serhij Hołubcow wyjawiał, że część myśliwców F-16, które Ukraina otrzyma od zachodnich partnerów, będzie przechowywana w bezpiecznych bazach na terytorium Polski. Jeżeli to prawda (informacja pochodzi z PAP, która jak wiemy jest bardzo podatna na ataki hakerskie), to ktoś tu chyba jednak zwarował.

■ Tak jak nietrzeźwy 29-latek, który przyjechał rowerem do komendy powiatowej policji w Górze na Dolnym Śląsku z pytaniem, czy jest poszukiwany? Okazało się, że był poszukiwany w dodatku był pijany i miał przy sobie woreczek strunowy z metamfetaminą.

■ Jak wynika ze wstępnych ustaleń, mężczyzna kierujący Mazdą stracił panowanie nad pojazdem na ul. Peowiańców w Lublinie. Auto wypadło z jezdni, staranowało metalowe słupki, przejechało przez chodnik i rąbnęło w drzewo. Sprawa ma charakter delikatny. Może doprowadzić do konfliktu dyplomatycznego, ponieważ pijany kierowca pochodził z Zimbabwe. Jak udało się ustalić, prezydent Zimbabwe Emmerson Dambudzo Mnangagwa zwrócił się z notą do polskiego MSZ, aby nie karać obywatela jego kraju śmiercią. Steżenie czystego spirytusu w wysokości 0,8 prom. we krwi jest w Afryce u kierowców dopuszczalne.

■ 42-latek z warszawskiego Targówka chciał nauczyć psa latać. Wyrzucił zwierzę przez okno mieszkania na piątym piętrze. Pies zdechtł. Rewelacje policji, że jedynym latającym ssakiem jest nietoperz, instruktor latania przyjął z żenowaniem. Prokuratura aresztowała nieświadomego zasad zoologii na trzy miesiące z możliwością przedłużenia okresu odosobnienia do lat pięciu, jeżeli tak zdecydowałby sąd.

■ Już w pierwszym dniu urzędowania nowy prezydent Sielec Tomasz Hapunowicz odwołał prezesa miejscowego Przedsiębiorstwa Energetycznego i stwierdził, że mimo dotacji w wysokości 60 mln zł przyznanej przez Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska na budowę spalarni oraz otwartej linii kredytowej, będzie się zastanawiał, czy spalarnia odpadów jest w mieście w ogóle potrzebna. Zdaniem nowego burmistrza kilkuletnie prace koncepcyjne oraz projektowe obciążone są pewnymi błędami, zawinionymi lub nie, i powinny się ich merytoryką zająć odpowiednie organy.

■ W Radomiu bankrutują trzy zakłady przemysłowe. Firma odzieżowa B&M Clothing Company ma zwolnić 123 osoby. Polski oddział japońskiej spółki Toho specjalizującej się w produkcji części łożysk zostanie zlikwidowany. Pracę straci 115 osób. W miejscowości Maków, oddalonej od Radomia o 10 km, 119 osób straci robotę w hucie szkła Solbika. Menadżment wspomnianych przedsiębiorstw utrzymuje,



że zbyt wysokie zapłacowe koszty pracy (wprowadzone przez PiS) czynią dalszą działalność gospodarczą w Polsce nierentowną.

■ W łódzkiej zoo na świat przyszedł hipopotam karłowaty. Hipopotam karłowaty jest dużo mniejszy niż hipopotam nilew, którego potomstwo jest z natury karłowate. Zatem potomstwo karłowatego jest niejako karłowate do kwadratu. Baaardzo małe znaczy się. Jeżeli ktoś chce się przekonać, można oglądać karłowatego codziennie w godzinach otwarcia ogrodu, czyli od 9.00 do 19.00 – informuje dyrekcja ZOO.

■ W Warszawie powstaje Park Linearny nad południową obwodnicą miasta. Najdłuższy tego typu w Europie. Podpisano umowę na prace budowlane i sadzeniowe na terenie 12 ha, które zajmować ma przyszły park. Roboty mają być zakończone za dwa lata. Przewodnicząca Komisji Ładu Przestrzennego w radzie miasta Ewa Janczar pochwaliła się, że inwestycja kosztować ma stołecznych podatników 43 mln zł. Czyli zasadzenie drzew i krzewów na hektarze jest warte 3,6 mln zł. Gdyby tę usługę robiły Lasy Państwowe, wyszłoby najwyżej 15 tys. zł. Tyle kosztuje zasadzenie hektara lasu mieszanego

■ Poznaniakom nie podobala się nowa identyfikacja wizualna miasta oraz tak zwana księga znaku, za którą urzędnicy zapłacili 150 tys. zł. Zdaniem magistratu zielona litera „P” na białym tle symbolizuje otwarty dom, nad którym jest sześcioramienna gwiazda. Ta z kolei symbolizuje światło oraz kompaktowość, przyjazność i sprawczość człowieka wraz z jego dumą i wolnością. Z tą opinią nie zgodził

się Mateusz Walasek, uczeń Technikum Poligraficzno-Administracyjnego im. Joachima Lelewela. Kontestator za darmo narysował własne logo Poznania zawierające białą ikonę ratusza z gwiazdką po lewej, na niebieskim tle. Internetowa sonda wykazała, że 89 proc. respondentów uważa, iż logo technika poligraficznego jest ładne, a to za 150 tys. zł brzydkie. Za zły gust i nikłe poczucie estetyki odwołano Cezarego Tylińskiego, pełnomocnika prezydenta Poznania do spraw marki miasta.

■ W odpowiedzi na rosnące koszty opieki nad bezpańskimi zwierzętami w schronisku, na co w minionym roku gmina Głogówek wydała 130 tys. zł, rada zdecydowała, że pobierającym psy ze schroniska wypłacana będzie wypłatka adopcyjna w kwocie 800 zł. Burmistrz Głogówka Piotr Bujak spodziewa się jednak nadużyć. „System ma się opierać na kontrolach poprzedzających adopcję, kontrolach następczych, a pieniądze wypłacane będą z odroczeniem” – oświadczył. Każdą inicjatywę można obrócić przeciw niej samej. Trudno sobie wyobrazić lepszą metodę zniechęcania do adopcji zwierząt.

■ Minister wojny Władysław Kosiniak-Kamysz powołał zespół doradców do spraw samorządowych, który w pierwszej kolejności ma się zająć stworzeniem programu wsparcia budowy schronów dla samorządów. Chodzi o znalezienie pieniędzy, których nie ma lub są, ale nie wiadomo gdzie. Zespół szuka już trzy miesiące. Na razie bez rezultatów. Obecnie w Polsce jest, zdaniem straży pożarnej, 1,7 tys. schronów mogących pomieścić prawdopodobnie 300 tys. ludzi. W każdym razie dla najważniejszych Polaków ochrona przed bombardowaniem jest. Pozostali muszą jeszcze poczekać.

■ Nowy burmistrz Zakopanego Łukasz Filipowicz pragnie wprowadzić w mieście prawo, spokój i porządek, których pod panowaniem poprzedniej władzy oczywiście nie było. Dość przebiegawców na Krupówkach! Nikt nie będzie tam więcej świrował białego misia albo udawał pijanej owcy. Oscypki będzie się robiło wyłącznie z owczego sera! Śliwowica nie będzie już z jabłek. Koniec z importem kierpcy i ciupag z Chin. Na początek zwolniony został komendant straży miejskiej. Szukają nowego, który powinien mieć „wyższe wykształcenie prawnicze i administracyjne w zakresie bezpieczeństwa lub zarządzania kryzysowego. Dodatkowym plusem (dodatkowy plus – kurwa mać!, przyp. RJ) będzie także doskonała znajomość topografii miasta oraz umiejętność interpretacji przepisów prawnych”. Mieszkał już w Zakopanem taki futurysta, fantasta i metafizyk. Wolał go Witkacy. Ale nikomu nie przyszło do głowy robić go burmistrzem.

RJ

PS Wieści pochodzą z prasy regionalnej, przez co za prawdziwość ich nie bierzemy odpowiedzialności. Tak czy siak, działają jednak pedagogicznie i kusząco.

Umowa resortu obrony z myśliwymi

Minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz, wspierany przez swego zastępcę Stanisława Wziątka, podpisał umowę z Polskim Związkiem Łowieckim (PZŁ). Media, zwłaszcza prawicowe, przyjęły to z niekłamną radością.

Łowczy krajowy Eugeniusz Grzeszczak zwrócił uwagę na to, że porozumienie ma historyczne znaczenie, poprawiając poziom bezpieczeństwa i ochrony ludności. Zacytujmy jego wypowiedź ze strony internetowej PZŁ: „Odpowiedzialność za przyrodę i lokalne społeczności jest głęboko zakorzeniona w naszej wielowiekowej tradycji i etosie. Poczucie obowiązku wobec Ojczyzny i narodu to naturalna postawa, którą wyrażamy na co dzień. Odpowiadając na oddolne inicjatywy, nasze Zrzeszenie podjęło systemowe działania na rzecz udziału myśliwych w budowaniu strategicznej odporności państwa”.

Chłopy kochają flinty

Lider ludowców nie posiadał się z zachwytem nad wartością porozumienia, gdyż to „bardzo ważny moment dla sił zbrojnych Rzeczypospolitej, dla Ministerstwa Obrony Narodowej i dla bezpieczeństwa państwa polskiego”. I przemyślał się do myśliwych, choć nam się wydawało, że przodkowie PSL-owców raczej zajmowali się kłusownictwem, chyba że jasnie panowie najmowali ich do nagonki.

Wedle szefa resortu obrony „myślistwo to wielka tradycja i historia. Myślistwo to dbanie o dobrostan, to szacunek dla przyrody, to umiejętność gospodarowania zasobami naturalnymi”. Co więcej, nie jest to tylko hobby i fajny sposób spędzania czasu, lecz także „pewna misja w imieniu państwa”. Jakby tego było jeszcze mało,

Polska krajem dziczyzny

Futrzana inwazja

PRL nie chciała być postrzegana jako kraj, w którym ulicami spacerują niedźwiedzie. III RP – jak widać na filmikach z Podkarpacia – wręcz przeciwnie.

Populacja zamieszkujących Rzeczpospolitą homo sapiensów się kurczy. Szacunki mówią, że w roku 2060 będzie nas jakieś 30 mln. Naprzeciw temu trendowi wychodzą ekologiczne postulaty unijne, które obligują nas do zrobienia miejsca tym, którzy zapelniają tę lukę – dzikim zwierzętom. I dlatego z dzisiejszej powierzchni lasów wynoszącej 29,7 proc. terytorium Najjaśniejszej, mamy dojść do co najmniej 33 proc. lesistości w roku 2050.

Polska się zajeleniła

Zwierzyna zdaje się już to wiedzieć. Jelenie, dziki i łosie mnożą się zatem jak króliki.

Przed II wojną światową, gdy Polska miała mocno większe terytorium, żyło u nas 16 tys. jeleni szlachetnych. Jeszcze dwie dekady temu pasło się na leśnych polanach niecałe 150 tys. tych zwierząt. Dziś jest ich niemal 300 tys. Prawie tyle samo, ile było dzików kilka lat temu. Dziś, w związku z wyrokiem śmierci wydanym na nie przez państwo z powodu afrykańskiego pomoru świń, jest ich jakieś 150 tys., ale znawcy mówią, że dwukrotny wzrost ich populacji może nastąpić nawet w ciągu dwóch lat. Ratując się przed dwururkami polujących na nie szwadronów śmierci, dziki wkroczyły do miast, stając się w parkach i na ulicach takiej choćby Warszawy stworzeniem równie często spotykanym jak owczarek niemiecki.

Sarna w tym wyścigu też nie zostaje w tyle. W ciągu 20 lat zreprodukowała się z 500 tys. do ok. 1 mln. Choć w II RP bobrów było ledwie 40 sztuk,

to teraz ich populacja licząca 150 tys. osobników zdominowała wszystkie możliwe tereny nadbrzeżne. Lisy zaś natknęły się na barierę żywnościową, bo pożarliście zbyt dużo zajęcy, nie mają co żreć. W związku z czym nałożyły sobie szlaban na rozmnażanie i starają się nie występować w liczbie większej niż 200 tys. sztuk. Absolutnym rekordzistą w ekspansji jest jednak łos. Przez ćwierć wieku od niecałych 2 tys. sztuk doszedł do 35 tys. Liczba wilków w tym czasie skoczyła zaś z 500 do 4300. Jest ich już dwa razy tyle, co w Niemczech, choć Polska od Niemiec jest nieco mniejsza.

Pół wieku temu mieszkano w Polsce ok. 20 niedźwiedzi, a dziś jest ich 150. I jak widać po filmikach z ulic wiosek w okolicach Tarnowa, rozlażą się po kraju.

Im strzelać nie kazano

Nad tym, żeby dziczyzna zbyt szybko nie zdominowała Polaków, czuwać powinni myśliwi. Ich głównym zadaniem nie jest jednak chodzenie z dwururką po lesie i odstrzeliwanie wszystkiego, co się rusza, ale produkowanie danych statystycznych. Liczby podawane przez nich szokują. I gdyby były prawdziwe, to moglibyśmy odrząbić ostateczne rozwiązanie kwestii dziczyzny w Polsce.

Jeśli bowiem odstrzeliwuje się rok w rok ok. 100 tys. jeleni, to ich populacja powinna mocno dołować. Dzików zaś nie powinno być już wcale, bo myśliwi deklarują, że każdego roku rozstrzeliwiają ich 310–350 tys. Lisy powinniśmy znać z bajek, skoro eksterminacja dotyka co roku ok. 160 tys. osobników z rudą kitą. Coroczne odstrzeliwanie ponad 210 tys. saren już dawno spowodowałoby, że ich populacja byłaby porównywalna z liczbą chorych na czarną ospę na warszawskim Wilanowie.

Z dubeltówką na Putina

zdaniem Kosiniaka-Kamysza, należy „zagospodarować umiejętności myśliwych, którzy mają przeszkolenie i pozwolenie na broń. Wielu z myśliwych w Polsce ma ogromne przygotowanie i rozpoznanie w terenie”.

Wicepremier stwierdził górnolotnie, że umowa wychodzi „naprzeciw oczekiwaniom tej społeczności, która ma patriotyzm, historię, tradycje na swoich sztandarach, ale też w sercach i w swoich działaniach”. Z rzeczy mniej wydumanych dowiedzieliśmy się, że porozumienie dotyczy „współdziałania, współorganizowania różnych przedsięwzięć i korzystania ze swoich strzelnic nawzajem”, zaś MON zamierza nomen omen łowić myśliwych, nęcąc ich, aby wstępowali do Wojska Polskiego.

Wziątek wziął przykład ze swego pryncypała, mówiąc, iż 136 tys. myśliwych ma „wyjątkowe umiejętności”, dysponujący bronią, którą umieją się posługiwać, są też „sprawni w działaniu”.

Warto przyjrzeć się nieco bliżej owej sprawności, także w kontekście militarnym.

Odstrzelić żołnierza

16 listopada ubiegłego roku podczas ćwiczeń na strzelnicy wojskowej 21-letni żołnierz zginął od postrzału w szyję.

Zginął z ręki myśliwego, który pomylił go z dzikiem. Ten ostatni (myśliwy, nie zwierzak) był pracownikiem firmy zajmującej się odłowem i odstrzałem dzików, polował razem z kolegą. Pojawiły się spekulacje, że obaj mężczyźni mieli strzelać z samochodu, co jest równie nieetyczne, co nielegalne. Niefrasobli-

strzela, jak wyczuje jakiś ruch w lesie i mówi mi – wiesz, przecież ja tak naprawdę nie wiem, do kogo strzelam”.

Myśliwi, w większości osoby starsze, nieraz mają problem z koordynacją ruchową. W listopadzie 2021 r. Eugeniusz Sz.-B. w lesie pod Białą Podlaską zauważył lisa, którego chciał zabić. Sięgnął za sztucer przewieszony na ramieniu i przypadkowo odstrzelił

który zaczepił się o kabląk. Dostał wyrok w zawiasach i całe 4 tys. zł grzywny. Surowiej sędziowie traktują alkoholików, którzy kradną wódkę w sklepie.

Listę przypadków postrzałów można ciągnąć długo, lecz trzeba podkreślić siłę lobby myśliwskiego, które uważa się za panów życia i śmierci nie tylko w lasach.

Jak nie wierzycie, spytajcie mieszkańców wałbrzyskiego osiedla Podzamcze.

W mikołajki 2021 r. w biały dzień po Podzamczu chodził sobie typ z bronią załadowaną ostrą amunicją. Strzelał do dzików. Pod balkonami ludzi, w odległości paru metrów od budynków mieszkalnych. Rozmówczyni „Faktu” mówiła wtedy: „Trójka dzieci mojej koleżanki patrzyła na to. Dzieci wracały wtedy ze szkoły. Widziałam ładowanie ciał zwierząt, wśród nich był mały dzik”. I dodała: „Moja kolejna koleżanka wracała z synem, kiedy usłyszeli strzały, a potem zobaczyli uciekające w panice dziki i mężczyznę z karabinem”.

Rzecz jasna, o odstrzale na wałbrzyskim osiedlu nie poinformowano mieszkańców, w żaden sposób też nie zabezpieczono jego obszaru. Był po prostu Janusz z giwerą, zapewne – mówiąc Wziątkiem – osoba o „wyjątkowych umiejętnościach”.

Jebnąć choćby jeża

Swego czasu mój znajomy lekarz, były wojskowy i myśliwy, stwierdził

wprost, że nie rozumie pobłażliwości sądów dla myśliwych, którzy polowali na dzika czy lisa, a strzelali – niekiedy nie tylko raniąc, lecz zabijając – kolegów, osoby z nagonki czy po prostu pechowców, którzy znaleźli się w zasięgu rażenia sztucera. Z bronią palną nie ma żartów. – Każdy, kto ma jakiegokolwiek doświadczenie i podstawową znajomość myśliwskiego rzemiosła, a ja przeszedłem swego czasu szkolenie snajperskie, więc znam się na rzeczy, wie, że gdy nie jest się pewnym, co bierze się na cel, nigdy, ale to nigdy, nie pociąga się za spust – przekonywał.

Kiedy mieszkałam na wsi i chodziłam na spacer z psem po polach, myśliwych wystrzęgałam się jak ognia, bo nie patrzyli, że ktoś wychodzi ze zwierzakiem, tylko zwyczajnie strzelali. Jakby co, zawsze się bronili, że były to bezpańskie, wafesające się psy. Słyszałam o co najmniej kilku takich wypadkach. Wszędzie widziałam ślady ich aktywności: porozrzucane łuski naboju strutowych lub dubeltówek i flaszki po wóдке, które taplały się w gównie polujących.

Jeśli myśliwi mają nas obronić przed armią Putina, to niech Bóg i św. Hubert, patron łowiectwa, mają nas w opiece!

KAT

Widząc statystyki odstrzału, eksperci od gospodarki leśnej się uśmiechają, dodając, że liczby te są nieprawdopodobne. Bo przecież oprócz kul zwierzyńne leśnej grożą takie przypadłości jak drapieżniki, a nade wszystko choroby. Gdyby zatem zestawić dane Polskiego Związku Łowieckiego z tabelami śmiertelności z innych niż myślistwo przyczyn, to liczba mieszkańców pól i lasów od dawna, miast rosnąć, kurczyłaby się w postępie co najmniej arytmetycznym.

Zwierzęta łowne w stanie wolnym stanowią własność skarbu państwa. Na wojewodzie spoczywa więc obowiązek kontroli nad dzikimi zwierzętami i czuwania nad tym, aby nie wyrządzały one szkód – ma od tego Państwową Straż Łowiecką. Chyba że zwierzyzna łowna porusza się na terenie miejskich posesji. Ale przepisy Prawa łowieckiego nie nakładają na Państwową Straż Łowiecką obowiązku kontroli zabezpieczenia terenów miejskich przed dzikimi zwierzętami. Zapewnienie bezpieczeństwa w tym zakresie należy do obowiązków samorządów. Tego, że w przypadku przepisów dotyczących dzikich zwierząt nic nie trzyma się kupy, dowodzi również to, że do wynagradzania szkód wyrządzonych w uprawach i płodach rolnych przez dziki, łosie, jelenie, daniela i sarny prawo zobowiązuje nie wojewodę, ale dzierżawcę lub zarządcę obwodu łowieckiego. Najczęściej jest nim koło łowieckie. To ono wyznacza też ludzi do szacowania szkód. Tacy ludzie nie mają żadnego interesu, by chronić koło łowieckie. Krążą więc opowieści o tym, ile trzeba dać ekspertowi myśliwskiemu, za to, żeby kilka metrów kwadratowych zryte przez łosie okazało się powierzchniami liczonymi w hektarach. Rzeczoznawcy myśliwscy nie kryją nawet, że na szkodach rolniczych wychodzą dużo lepiej niż na marznieniu w lesie ze strzelbą. Zwłaszcza że rocznie kwota odszkodowań za straty spowodowane przez dziczyznę idzie w setki milionów złotych.

Odchodząca profesja

Przez stulecia myśliwym w zwalczaniu futrzastych szkodników leśnych towarzyszyły osoby nieزرeszone i swoją działalnością się niechwalące. Słusznie zresztą, bo to, co wolno myśliwemu, dla kogoś niezreszonego oznaczało w niektórych przypadkach nawet pięć lat odsiadki. Tyle bowiem wynosi najwyższy wyrok za kłusownictwo.

Teraz kłusowników jest jak na lekarstwo, a ich liczba wciąż spada. A najciekawsze jest to, że

spadek parametrów nielegalnego pozyskiwania zwierzyzny leśnej, jest wprost proporcjonalny do wzrostu liczby dziko żyjącej zwierzyzny.

Jeszcze w okolicach 2010 r. szacunki policyjno-myśliwskie mówiły o porównywalnej liczbie dziczyzny pozyskiwanej przez członków kół łowieckich i samorodnych myśliwych. W tych czasach służby znajdowały w lasach ponad 250 tys. sideł, wnyków i innych pułapek zastawianych na zwierzyznę.

Odnotowywano też jakieś prawie 5 tys. przypadków kłusownictwa z użyciem broni palnej. Ba, raporty przedstawiane wtedy posłom wspominały również o 5280 chartach używanych do nielegalnego mordowania leśnej fauny. Zabijaniem dziczyzny zajmowały się też 87 342 „dzici-

czale, bezpańskie psy”. Zaś „liczbę kłusujących kotów” określono na 212 389 sztuk.

Po kilkunastu latach wszystko się zmieniło. Sprawdziło się bowiem to, co mądrzy ludzie pisali o przyczynach kłusownictwa. Znaczący, przede wszystkim biedzie, która powodowała, że żeby rodzina miała na obiad mięso, to szło się po nie do lasu. Biedę generowało bezrobocie, więc teraz, gdy robotę ma każdy kto chce, po pierwsze, nie ma czasu na kłusowanie, a po drugie, taniej i bezpieczniej jest pójść po karkówkę do Biedronki.

Mocno zredukowała się też ta grupa zawodowych kłusowników, którzy mieli swój stały zbytna na dziczyznę – głównie w knajpach. Lata rządów PiS sprowadziły życie wielu restauratorów do strachu przed wszystkimi możliwymi kon-



trolami i mocno ograniczyły popyt na bezzakładowe rarytasy z lasu.

Do niechęci w kupowaniu dziczyzny przyczyniła się też ignorancja. Wcześniej nie przeszkadzało nikomu, że niebadane mięso z dzika mogło mieć w sobie włośnicę, ale gdy pojawił się ASF, to mimo że dla ludzi wirus jest nieszkodliwy, mięsa dzików zaczęto się bać.

Efektom statystycznym tego jest czterokrotny spadek znajdowanego w lasach sprzętu do kłusowania. W minionym roku znalezione ledwie kilkanaście tysięcy takich ustrojstw. Ośmiokrotnie mniej – bo raptem tylko kilkudziesięciu – pojawia się też w kniej ludzi z obrzynami.

To, co pada dziś ofiarą niekoncesjonowanych łowców, nie powinno przypisać o palpitację serca nawet najbardziej prozwyrazłkowych ekologów. Kilkadziesiąt ubitych rocznie saren to promile polskiej populacji tych zwierząt. Skłusowane zające to też ćwierć procenta kłusujących futrzaków. Upolowanych nielegalnie dzików było raptem kilkanaście.

Wcale nienajgorzej w tym zestawieniu wypadają – wbrew nazwie – jelenie. Ofiarami kłusowników zostało mniej niż 0,1 proc. bohaterów landszaftów. Zabite przez kłusowników łosie liczy się na palcach jednej ręki.

Jakby nie patrzeć, przez 14 lat spadek liczby zwierząt, które zabili kłusownicy, jest kilkunastokrotny.

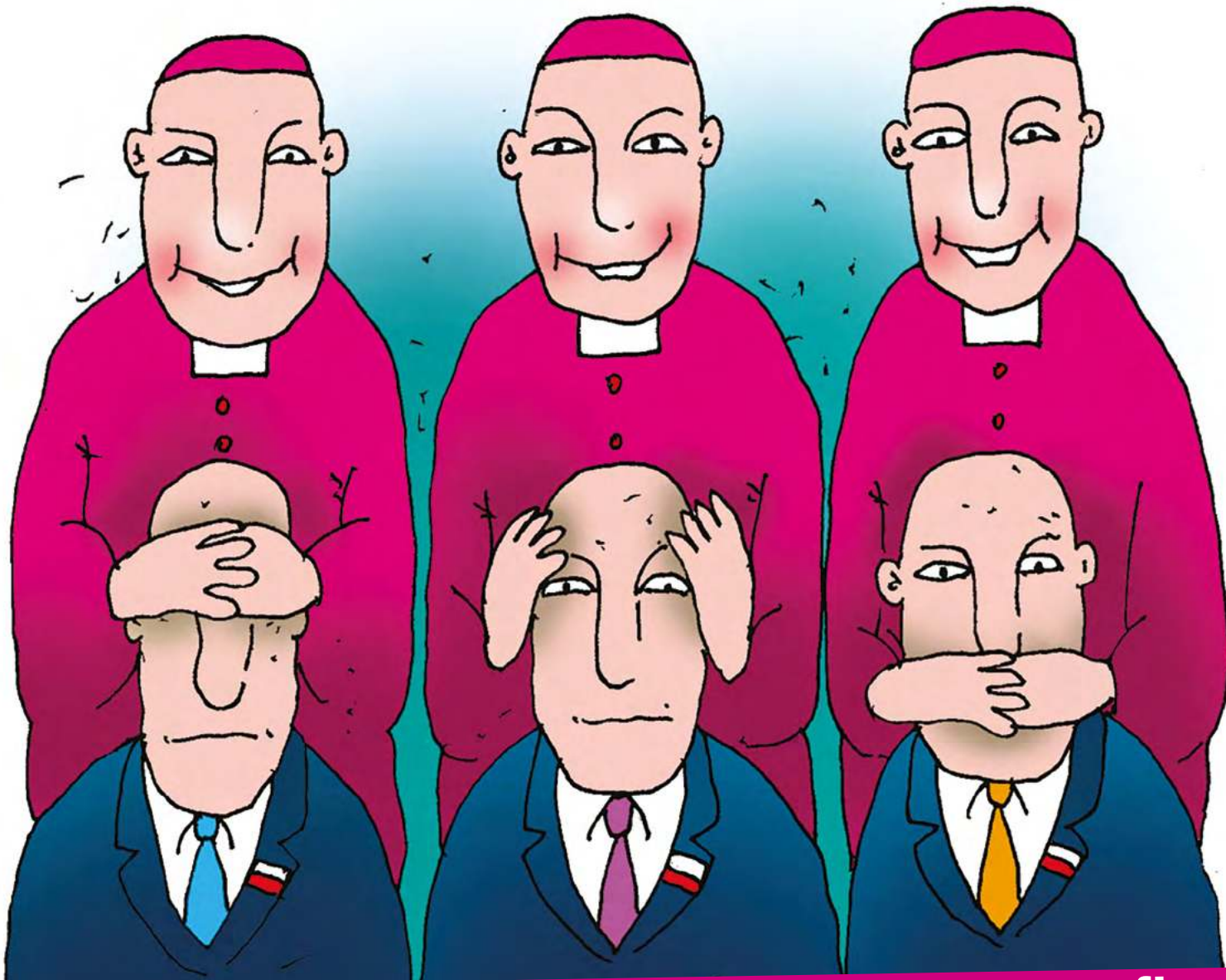
Nienawidzący ludzi miłośnicy zwierząt mogą zatem być wniebowzięci. Specjaliści od rolnictwa i ekonomii – niekoniecznie. Skokowy wzrost odszkodowań za straty rolne spowodowane przez dziką zwierzyznę jest ich zdaniem dowodem nie na proekologiczną politykę państwa, ale na brak jakiegokolwiek pomysłu na gospodarkę leśną.

Naukowcy twierdzą, że tyłu zwierząt, ile teraz żyje w polskich lasach, nigdy na naszych terenach nie było. I jest szansa, że wkrótce nie będzie. Bo do zrobienia z dziczyzną tego, co powinien zrobić myśliwy i kłusownik, weźmie się przyroda. Porządek zrobią umiłowane przez ekologów wilki. A jak zjedzą to, co mieszka w lasach, to...

Jeśli jednak nie dadzą rady, to my sami jeszcze bardziej udostępnimy braciom mniejszym tę ziemię. W końcu ONZ-owska prognoza mówi o tym, że w 2100 r. Polaków będzie raptem tylko 25 mln.

TOMASZ BOROWIECKI

RYS. MIROSLAW HAJNOS *



Biskupi, bujajcie się! Ale w fotelu, nie po parafiach.

Tron na biegunach

Życie emeryta nie kojarzy się w Polsce pozytywnie. Tysiące emerytów żyją za grosze, ledwo stać ich na leki i jedzenie, o innych przyjemnościach nie wspominając. Jest jednak w naszym kraju specjalna grupa emerytów, która narzekać nie może – biskupi. Nazywani w kościelnym slangu biskupami seniorami hierarchowie nie troszczą się o przyziemne sprawy, bo mają zapewnione sielskie życie. Pan płaci, pani płaci, my płacimy – społeczeństwo.

Prawo kanoniczne stanowi, że każdy biskup musi złożyć papieżowi rezygnację z urzędu po ukończeniu 75. roku życia. Ciężko pracujący hierarchowie zapieprzają dłużej niż przeciętny Polak (wylączając abepe Wojciecha Polaka, prymasa), chyba że papież postanowi inaczej. Czasem pracują jeszcze dłużej, o ile można to nazwać pracą – pewnie górnicy by się klócili. Powszechnie znany kardynał Dziwisz pracował dwa lata ponadwymiarowo, bo zamarzyło mu się być gospodarzem Światowych Dni Młodzieży w Krakowie w 2016 r. Kraków za chwilę będzie miał dwóch znanych emerytów, bo w lipcu ciepłe kapcie wdzieje Marek Jędraszewski. Jest to jedna z najbardziej wyczekiwanych emerytur w Polsce – w internecie uruchomiono nawet specjalny zegar, który odlicza sekundy do 24 lipca. Stworzyli go prawdopodobnie krakowscy księża, podobnie jak „Psalmus emeritus” – nabożną pieśń w formie psalmu opiewającą perspektywę opuszczenia przez Jędraszewskiego krakowskiego tronu. Kraków ma też innego emeryta, nieco wstydliwego. Chodzi o bepe Jana Szkodonia, który odszedł na wcześniejszą emeryturę w 2016 r. Musiał odejść, bo wydało się że urabiał małolatę – co dość niezwykle w branży – płci żeńskiej. Po reportażu w „Dużym Fromacie” – „Zły dotyk biskupa z Krakowa” – Szkodoń został pognany precz. Oficjalnie poinformowano tylko, że opuścił diecezję, zaś w ubiegłym roku wydało się, że związana z krakowską kurią fundacja wypłaciła poszkodowanej kobiecie 300 tys. zł. Oprócz tego kuria musi utrzymywać Szkodonia i to dwa lata dłużej niż zazwyczaj w przypadku biskupów. Kosztowny emeryt.

Diecezja z wyciętym Kaszakiem

A co mają powiedzieć w takim Sosnowcu? Tam mają najmłodszego emeryta, który w lutym skończył zaledwie 60 lat. Bepe Grzegorz Kaszak odszedł w atmosferze skandalu po wypłynięciu afer w jego diecezji. Słynna orgia w Dąbrowie Górniczej, do tego ksiądz, który zabił diakona po czym popełnił samobójstwo oraz śmierć na plebanii – młody chłopak pod wpływem narkotyków, a ksiądz gospodarz w pace. Jeszcze wcześniej rektor seminarium, bywalec klubów gejowskich. Nazbierało się trochę. W dodatku sam Kaszak jest protegowanym zmarłego w 2008 r. kard. Alfonso López Trujillo, o którym pisał autor słynnej „Sodomy” Frédéric Martel. „Kardynał Trujillo, do czego dotarłem podczas

śledztwa, był aktywnym seksualnie gejem, miał wielu kochanków, namiętnie korzystał z męskich prostytutek. Rozmawiałem z jedną z nich, a także z księdzem, który mu ich dostarczał” – mówił w wywiadzie dla Gazeta.pl. Bardzo męska diecezja.

Bepe Kaszak został więc wysłany na emeryturę, ale jest zbyt piękny i młody, aby całkowicie zaprzestać działalności. Media obiegła niedawno wieść, że udziela bierzmowania w Olkuszu. Te same media przeoczyły fakt, że wcześniej był obecny podczas przekazywania władzy nowemu biskupowi sosnowieckiemu, oddelegowanemu z Tarnowa bepe Arturowi Ważnemu. Fakt, niełatwo go było wypatrzyć, bo diecezjalny fotograf starał się jak mógł, żeby nie mieścił się w kadrze, ale wprawne oko go dojrzy.

Opinia publiczna poczuła się zgorszona ostentacyjną aktywnością skompromitowanego hierarchy, czemu wyraz dał red. Szymon Piegza w wywiadzie z biskupem Ważnym przeprowadzonym dla Onetu. Symbolem podkreślanej na każdym kroku odwagi nowego szefa diecezji sosnowieckiej ma być już sam fakt, że biskup udziela wywiadu laickim mediom. Coś, co jest standardem w cywilizowanym świecie, w polskim grajdółku urasta do rangi cudu. Otwartość bepe Ważnego kończy się wszakże tam, gdzie zaczyna się interes korporacji. Zagajony przez dziennikarza o występy poprzednika odpowiada zgodnie z utartymi schematami. „Biskup Grzegorz nie został wysłany na emeryturę, sam o nią poprosił. Stolica Apostolska nie nałożyła na niego też żadnych kar kościelnych. Prawo nie zabrania mu takiej posługi, jak udzielanie bierzmowania” – uci-na dyskusję.

Tournée po parafiach

Wstydu nie ma też abepe Wiktor Skwore, emeryt z Katowic, a wcześniej biskup tarnowski, z którego życie wywodzi się z kolei wspomniany wyżej bepe Artur Ważny. Nie mogli się nie znać. Skwore ma reputację podobną do Jędraszewskiego – kler jego diecezji odetchnął z ulgą, gdy ich pryncypał został wysłany przez papieża na zieloną trawę. Zrobiono to w białych rękawiczkach: Franciszek najpierw mianował koadiutóra, czyli biskupa z prawem następstwa, faktycznie rządzącą diecezją do czasu kopnięcia w kalendarz lub osiągnięcia wieku emerytalnego przez dotychczasowego biskupa. Następcą Skworca został abepe Adrian Galbas, kolejna nadzieja polskiego Kościoła. Po odejściu Kaszaka administrował też diecezją sosnowiecką do czasu nominacji bepe Ważnego. Galbas wywodzi się ze zgromadzenia pallotyńców, co może mieć niebagatelne znaczenie, wzięwszy pod uwagę fakt, że pallotyńcem był też nieżyjący już Henryk Hoser kojarzony z ludobójstwem w Rwandzie i walką z *in vitro*. Galbas o koledze wypowiadał się zawsze ciepło.

Skwore nie ma wstydu, bo jak gdyby nigdy nic podróżuje sobie po parafiach. Szerokim echem odbiło się zaproszenie go na Święto Rodziny z Rodziną Ulmów organizowane przez Polską Misję Katolicką w Anglii i Walii. Oburzeni wypominają Skworcowi, że został odsunięty od obowiązków m.in. dlatego, że zarzucano mu tuszowanie pedofilii duchownych. Dopytany przez reportera Onetu ks. Bogdan Kołodziej, rektor misji, nie był zbyt wylewny. „Niech pan da spokój. Tylko szukacie chorych sensacji. Nie będę tego komentował” – skwitował.

Ofiara Żydów i masonów

Podobny myk z koadiutorem, co w Katowicach, zastosowano m.in. w diecezji płockiej w latach 80. wobec bepe Bogdana Sikorskiego, który za żołnierza nie wylewał i nie ukrywał swojego związku z kobietą. Nie wypierał się też dziecka, któremu wyprawił z pompą ślub w katedrze. To przelało czarę goryczy. Ale spokojnie dożył końca swych dni, nienękany przez nikogo, bo takie to były czasy, że dziennikarze nie molestowali biednych księży. Sprawę Sikorskiego opisują Artur Nowak i prof. Stanisław Obirek w książce „Gomora. Władza, strach i pieniądze w polskim Kościele” – polskiej odpowiedzi na „Sodomę” Martela.

Diecezja płocka generalnie nie ma szczęścia do pasterzy. W latach 1999–2006 rządził nią abepe Stanisław Wielgus, który z Płocka wyniósł się do Warszawy, by zastąpić Glempa. Nie porządził sobie w stolicy: ustąpił z urzędu w dniu swojego ingresu (uroczystego objęcia diecezji) po ujawnieniu przez „Gazetę Polską” jego współpracy z SB.

Takie to były czasy, że u pisowskiego propagandysty Sakiewicza atakowało się hierarchów katolickich, i to piórem nikogo innego, jak samego Tomasza Terlikowskiego. Obsesja antykomunistyczna była silniejsza niż fanatyzm religijny.

Orędownikiem zrządzenia Wielgusa z rowerka był nie kto inny, jak prezydent tysiąclecia Lech Kaczyński. Wielgus na emeryturze wydał książki, w których atakował poległego w Smoleńsku brata

Jarosława oraz wywodził, że jego zrujnowana kariera to spisek Żydów i masonów, w który zamieszany był choćby – łączący obie te funkcje – Bronisław Wildstein, autor słynnej listy esbeckich kapusiów.

Abepe Wielgus nie zabunkrował się jednak na amen. Widywany jest w okołolubelskich parafiach. Do Lublina wrócił na emeryturę, gdyż stamtąd jego ród, a zanim przywdział fiolety, był rektorem KUL-u. Uniwersytet wyprawił mu huczną osiemdziesiątkę, jest tam fetowany jak ktoś wybitnie zasłużony. Przyjaźń z Rydzykiem nie poszła na marne, a Czarnek musi być dumny. Emeryturę płaci Wielgusowi na pół diecezję płocką i warszawską, bo władze diecezji stołecznej uznały, że ktoś, kto rządził nimi dwa dni, niekoniecznie powinien być wynagradzany z ich budżetu. Wielgus dorabia łapiąc fuchy typu bierzmowanie.

Płocka kłątwa

Swoją drogą współpraca z SB jest chyba mniej kompromitująca niż tuszowanie pedofilii, przynajmniej według kościelnych norm. Bez przeszkód żył sobie i pracował na emeryturze w Łodzi nieżyjący abepe Janusz Bolonek, zdekonspirowany przez Sławomira Cenckiewicza jako agent wywiadu PRL o pseudonimie „Lamos”. Pracował w dyplomacji watykańskiej, a donosił choćby na bohatera prawicy Ryszarda Kuklińskiego. W Tarnowie (gdzie pracowali wymienieni wyżej Skwore i Ważny) żyje aktywnie abepe Henryk Nowacki, którego współpracę z SB ujawnił z kolei zmarły niedawno ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. Nowacki miał niezbyt wysublimowany pseudonim „Henryk”. Przy nazistach uciekających z pomocą Watykanu do Argentyny współpraca z PRL jawi się jak dziecinna igraszka.

Po esbeckim Wielgusie w płocku nastał bepe Piotr Libera, wcześniej sekretarz generalny Konferencji Episkopatu Polski. Zastał diecezję moralnie i finansowo zdewastowaną (w sumie żadna nowość w polskim Kościele kat.) – mówiło się że księża trzymali Wielgusa za jaja szantażem, że jak będzie fikał, to wiedza o jego współpracy z SB wypłynie. I robili, co chcieli. Libera miał posprzątać, ale raczej sobie nie poradził z tym bałaganem. W 2020 r. udał się na pół roku „urlupu” do pustelni kamedułów. Tłumaczył, że to zawsze było jego wielkie pragnienie – no, wspaniale, zostawił diecezję na pół roku, bo ma się taki kaprys. Bardzo odpowiedzialnie. Na czas nieobecności Libery w Płocku papież wyznaczył na administratora kardynała Nycza z Warszawy, jakby nie ufając biskupowi pomocniczemu Mirosławowi Milewskiemu, o którym też krążyły plotki z kobietą w tle. Gdy Libera przeszedł na emeryturę w 2022 r., Watykan znowu nie zaufał Milewskiemu i powierzył rządy bepe Wiesławowi Śmigłowi z Torunia. Libera odszedł przed czasem – miał 71 lat. Tłumaczył się złym stanem zdrowia. Ten stan zdrowia nie przeszkadza mu jednak biegać po bierzmowaniach i innych imprezach. Na schorowanego nie wygląda. Najpierw pół roku urlupu, potem wcześniejsza emerytura... coś tu pachnie kłątwa poprzedników.

Biskup, generał, sołtys

Na deser zostawiliśmy najśłynniejszego bodaj polskiego biskupa seniora – abepe Sławoja Leszka Głódzia. Jest on chyba najbardziej wyrazistym symbolem kościelnego programu aktywizacji seniorów. Już sam fakt upicia Kwaśniewskiego w samolocie czyni go weteranem i zasłużonym dla narodu polskiego kombatanem. Przy tym „Flaszka” jest generałem, więc i odpowiednią do stopnia pobiera emeryturę. Był kolejno biskupem połowym, warszawsko-praskim i gdańskim. Po tych wszystkich splendorach i szczytach skromnie osiadł w kilkukhektarowej posiadłości na Podlasiu, skąd się wywodzi. Nie zaprzestał jednak działalności na rzecz społeczeństwa. Objął skromne stanowisko sołtysa wsi Piaski. Duchowni wprawdzie nie mogą obejmować świeckich urzędów, bo zabrania tego prawo kanoniczne, ale w tym przypadku prawo kanoniczne ma urlop. Co zresztą można zrobić emerytowanemu biskupowi? Wkurzyć go, żeby zaczął spać? Wtedy musiałby po dżentelmeńsku odejść z tego świata, jak choćby abepe Józef Wesołowski, który dostał zawału po wyjściu na jaw jego schadzek z chłopcami i skłonności do narkotyków albo bepe Edward Janiak, który też zmarł nagle po wyrzuceniu go z posady biskupa radomskiego – pokłosie filmu braci Sekielskich. Rozwścieczeni na przełożonych biskupi to ostatnie czego Watykan by sobie życzył.

Sławoj Leszek Głódź żyje i bryluje. Ostatnio był widziany choćby na pożegnaniu wójta gminy Jaświły, a potem na pierwszej sesji nowej rady gminy. Nie zapominają też o nim media. Arcybiskup „Flaszka” jako były biskup połowy, czyli duszpasterz żołnierzy, a zarazem mieszkaniec Podlasia i sołtys podlaskiej wsi, został przy okazji śmierci młodego żołnierza zapytany przez „Fakt” o sytuację na granicy. „Jeśli nie będziemy szanować własnych żołnierzy, będziemy salutować przed obcymi” – powiedział przedstawiciel Watykanu.

Pozostaje tylko życzyć nam wszystkim, żeby na emeryturze doskwierały nam takie troski jak biskupom seniorom.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Hierarchowie pouczają: katolicyzm – tak, wypaczenia – nie.

Polski episkopat ciągle jeszcze potrafi zaskoczyć. Biskupi zajęli się w końcu tym, od czego są, czyli wiarą. Nie żeby sami zaczęli wierzyć, na to są zbyt wyrachowani i cyniczni. Zajęli się teoretyczną stroną wiary, praktykę pozostawiając owieczkom. To wielkie święto w polskim Kościele kat. Zazwyczaj „nasi okupanci” zajmują się wszystkim, tylko nie swoją działką. Wszystko wiedzą o polityce, aborcji, in vitro, małżeństwach i związkach par hetero i innych. Brakuje im czasu by zajmować się takimi głupotami, jak duchowy wymiar wiary. Troski materialne tak się piętrzą, że wszystko inne schodzi na dalszy plan. Ktoś się jednak zreflektował i uznał, że trzeba pewne sprawy uporządkować. I nie jest to decyzja tak bardzo oderwana od sfery finansowej, jak mogłoby się z początku wydawać.

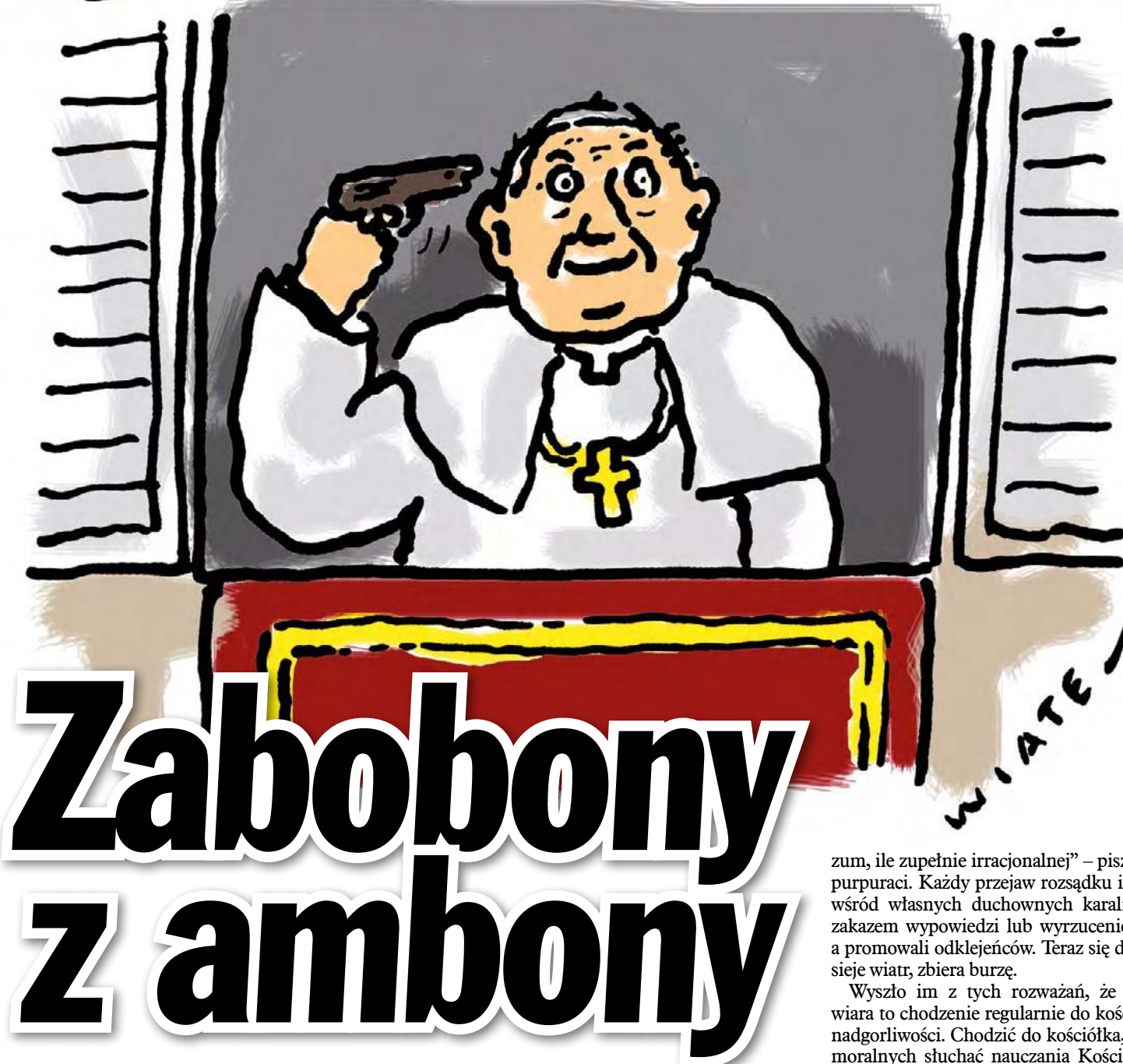
Dokument nosi pasujący do biskupów tytuł „O właściwym rozumieniu chrześcijańskiej religijności”. Hierarchowie przyzwyczajeni są do posiadania monopolu na prawdę i ogłaszania swoich mądrości *ex cathedra*, nie znosząc sprzeciwu. Dobrze wyraża to krążący po sieci cytat jednego z biskupów, który w przypływie szczerości miał przyznać że „polscy wierni nie są na tyle mądzy i inteligentni, by być w stanie decydować o tym, co jest słuszne, a co nie. Do tego niezbędny jest im Kościół. Kościół katolicki i jego duchowni”. 28-stronicowy dokument ma za zadanie wyklarować katolikom znad Wisły, jak mają wierzyć i wiarę praktykować, bo się trochę zagalopowali.

Biskupi wyliczają konkretne wypaczenia, których dopuszczają się Polacy mieniący się katolikami. Poszczególne herezje mogą zaskakiwać, zwłaszcza gdy wylicza je kler. Wśród błędów popełnianych przez wiernych episkopat wylicza m.in. religijność zabobonna, wypaczone odniesienie do świętych, niezdrową fascynację światem złych duchów, zbyt dużą koncentrację na objawieniach prywatnych, nadmierne skupienie uwagi na cudach. Biskupi mają szczęście, że ich owieczki niewiele czytają, a już na pewno nie instrukcje episkopatu. Świadomie czy nie, boleśnie uderzyli w jądro polskiego katolicyzmu.

Wyliczone błędy to przecież ni mniej ni więcej cechy charakterystyczne wiary watykańskiej w naszym lokalnym wydaniu. Zabobonem Polak katolik stoi, a chcąc mu go zabrać. Gdy ociosać wiarę tutejszego ludu z zabobonów, egzorcyzmów, objawień i cudów, to co zostaje? Może tylko przesadny kult Matki Boskiej, do którego biskupi widocznie nie mieli śmiałości się przyczepić w obawie przed linczem.

Episkopat walczy z potworem, którego sam wyhodował. Kościelne wydawnictwa hurtowo wydają książki z opisami objawień i cudów, egzorcyści brylują w mediach i w kościołach ze swoimi opowieściami o sparingach z szatanem. Apele o rozsądek i umiar są mocno spóźnione i brzmią śmiesznie z ust tych, którzy sami napędzali koniunkturę

SKUTECZNA REFORMA W WATYKANIE



szarlatanom, a przynajmniej nie przeszkadzali im w robocie. Współczesny człowiek potrzebuje emocji, wszędzie jest pełno bodźców, więc żeby przyciągnąć do kościoła, też trzeba się postarać. Tę umiejętność mają egzorcyści-showmani i uzdrowiciele jak zapelniający Stadion Narodowy ks. John Bashobora.

Trochę się to władzom kościelnym wymknęło spod kontroli i próbują gasić pożar. Prędzej czy później taki charyzmatyczny ksiądz przyciągający wiernych konfliktuje się z biskupem i zaczyna działać na własną rękę. Po co się dziać kować z kuria, jak można mieć coś dla siebie? Prekursorem był ks. Piotr Natanek, który stworzył własną sektę na podstawie objawień niejkiej pani Agnieszki będącej w stałym kontakcie z Panem Bogiem. Dziś takich Natanków jest więcej, jak choćby ks.

Daniel z Czatachowy, który wszedł na wojenną ścieżkę ze swoim biskupem. Po jego stronie stanęła rzesza zwolenników, która bombarduje kurie częstochowską apelami w sprawie guru, zaś abepe Wacława Depo uważa za sługusa diabła, który chce wykończyć świątobliwego kapłana. Nic dziwnego, że biskupi próbują ratować, co się da, ale robią to w swoim nieudolnym stylu.

Wołanie o używanie rozumu to jeden z najlepszych numerów, jakie wykreślił nam biskupi w ostatnim czasie, a konkurencja jest spora. „Wypaczenie zdrowej gorliwości religijnej bywa również związane z tendencją do odrzucania roli rozumu w akcie wiary, niezdrową ciekawością, koncentracją na tym, co niezwykle i rzadkie, oraz postrzeganiem wiary jako sfery nie tyle przewyższającej ro-

zum, ile zupełnie irracjonalnej” – piszą zatroskani purpuraci. Każdy przejaw rozsądku i krytycyzmu wśród własnych duchownych karali dotychczas zakazem wypowiedzi lub wyrzuceniem z roboty, a promowali odklejeńców. Teraz się dziwią, że kto sieje wiatr, zbiera burzę.

Wyszło im z tych rozważań, że najzdrowsza wiara to chodzenie regularnie do kościoła, ale bez nadgorliwości. Chodzić do kościołka, w sprawach moralnych słuchać nauczania Kościoła kat. bardziej niż własnego sumienia – oto ideał katolika według episkopatu. Jest w tym metoda – każde mocniejsze zainteresowanie się religią prowadzi przecież na manowce ateizmu lub pcha w ramiona innych niż katolicyzm wyznań. Na rękę biskupom są tacy wierni, którzy nie wnikają za bardzo, ale jednocześnie identyfikują się z Kościołem i troszczą się o jego potrzeby materialne, jak to zapisano w przykazaniach kościelnych.

Episkopat, gdy czuje oddech konkurencji na plecach, gotów jest nawet wygłosić pochwałę rozumu. Co dalej? Potępienie JP2? Zaprzestanie przerzucania drapieżców seksualnych z parafii do parafii? Już pochwała racjonalizmu wydawała się niedopuszczalną herezją, a jakoś przeszła. Czekamy z utęsknieniem na kolejne dokumenty.

ŁUKASZ PIOTROWICZ

WIEŚCI Z KRUCHTY

✦ W niedzielę 9 czerwca mieszkańcy Rozdrażewa koło Krotoszy (woj. wielkopolskie) zauważyli jadący wężykiem pojazd. Świadkowie ruszyli w pościg za nieskoordynowanym kierowcą, zatrzymali go i siłą zabrali kluczyki. Jak się okazało, za kierowcą samochodu Kia Sportage siedział nietrzeźwy 47-latek, ksiądz z pobliskiej parafii. Podczas policyjnej interwencji duchowny zachowywał się agresywnie, zwymyślał funkcjonariuszy, używał obelżywych i wulgarnych słów. Mimo wyrzucalnej woni alkoholu, kłecha odmówił badania alkomatem, został więc zabrany do szpitala na przymusowe badanie krwi. O losach kapłana, który uczcił dzień święty procentami, zadecyduje sąd.

✦ „Jeśli jakiś c**j albo k***a robi krzywdę dziecku na terenie mojej Parafii, to obiecuję serdecznie, że zabiję tego podludzia ze szczególnym okrucieństwem” – mogli przeczytać wierni na oficjalnym facebookowym koncie parafii pod wezwaniem Matki Boskiej Fatimskiej w Kaletach (woj. śląskie) na początku czerwca. Autorem wyznania był miejscowy ksiądz proboszcz Krzysztof Goc, który wyjaśnił w komentarzu, że „Kurria nakazuje opis procedur w sprawach nieletnich. No to opisałem!”. Wpis został szybko usunięty, ale dzięki screenom stał się wiralem i dotarł do kurii diecezjalnej w Gliwicach. Ks. Krystian Piechaczek, rzecznik prasowy kurii, wyraził ubolewanie „z powodu obraźliwych

słów użytych w tym wpisie, które nigdy nie powinny się w nim pojawić” oraz dodał, że o ewentualnych krokach wobec autora wpisu zadecyduje biskup po powrocie z pielgrzymki. Apelujemy do gliwickiego bepe: nie karać, brać przykład!

✦ Były restaurator Wojciech Modest Amaro, który w ostatnich latach przeszedł proces nawrócenia, twierdzi, że otrzymał od Boga dar uzdrawiania dotykami. W ostatnim czasie uświęcony kucharz oraz jego małżonka gościli w sanktuarium św. Stanisława Papczyńskiego w Górze Kalwarii, gdzie dawali świadectwo swojej wiary. W trakcie 50-minutowego przemówienia Amaro wyznał, że podczas pierwszej pielgrzymki do Medugorje, wychodząc z sanktuarium Matki Bożej wylosował słowo: „Tym, którzy we mnie wierzą, takie znaki towarzyszyć będą. Na chorych będą nakładać ręce, choćby co złego wypili, nic im nie będzie szkodzić”. Niebawem okazało się, że ma szansę przetestować nowo nabyte umiejętności. Po powrocie do Polski kucharz i jego małżonka otrzymali telefon o umierającym chłopcu w Płońsku. Małżeństwo, długo się nie zastanawiając, wsiadło w auto i pognęło z ratunkiem dla malca. Amaro został wpuszczony na OIOM, gdzie modlił się przy łóżku ledwo ciepłego młodzieńca, a ten rano był zdrowy. To zapoczątkowało całą serię cudów. Co piątek przez dziewięć miesięcy pan Jezus stawiał przed Amaro zdechlaka do uzdrowienia, a bogobojny kucharzyna wyciągał nieszczęśnika spod kosy. Rewelację uzdrowiciela anonimowo zgasił jak peta w rozmowie z mediami jeden z duchownych kościoła katolickiego, który wysunął podejrzenie, czy aby świeżo upieczony charyzmatyk nie cierpi na schizofrenię. Cóż, przyganił kociot garnkowi.



✦ Do niecodziennych wydarzeń doszło 12 czerwca w Mojszewie, niewielkiej osadzie pod Gryficami (woj. zachodniopomorskie). Uwagę okolicznych mieszkańców zwróciła para trzydziestoparolatków z roczną dziewczynką, którzy rozpytywali o egzorcystę dla kaszajada. Kiedy rodzice zaciągnęli dziecko do pobliskiego lasu, świadkowie wezwali służby. Przybyła na miejsce policja zastała parę podczas okładania córki gałęziami. Kobieta wyjaśniła policjantom, że odprawia egzorcyzm, żeby wypędzić z dziecka diabła. Rodzice dziewczynki zostali zatrzymani. Matka trafiła na oddział psychiatryczny, a ojciec do aresztu. Smarkula miała szczęście, że nie miała gorączki. Kuracja na trzy zdrowaśki w piecu mogłaby mieć zgola inny koniec niż wypędzanie Zlego.

✦ Fundacja Małych Stópek zachęca do skorzystania z aplikacji „Adoptuj Życie”, która pełni rolę mobilnego asystenta dla osób, które podjęły Duchową Adopcję Życia Poczętego. W rozwijanym menu aplikacji znajdziemy m.in. treść codziennej modlitwy za życie poczęte oraz propozycje rozważań różańcowych. Animacje aplikacji obrazują rozwój prenatalny dziecka. Wirtualny maluch każdego dnia sam powie, co u niego słychać, będzie można również posłuchać bicia jego serca. Wszystko to na pohybel środowiskom proaborcyjnym. Przypomina nam to sytuację, kiedy kilka lat wstecz ponad milion osób ściągnęło z Google Play aplikację imitującą dźwięk wiatraka w nadziei, że ich smartfon ostudzi nieco te gorące głowy.

KLECHA

Więści na użytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.



Ciche bohaterki z domowych pieleszy

Pochwała naszych matek

Z mieszaniną rozbawienia i zdziwienia przyjmuję te wszystkie rady, jakie dla matek w każdym wieku prezentują te wszystkie niewydarzone celebrytki i medialne psycholożki (a może raczej psycho loszki) czy coachki życia rodzinnego. Nijak nie ma się to ani do mojego doświadczenia, ani do doświadczenia większości Polaków, a przecież każdy zrodził się z kobiety (przepraszam idiotki pierdolące o mężczyznach rodzących dzieci), a większość kobiet zostaje matkami, choć to faktycznie przereklamowana rola.

Pod pręgierzem

Klasa średnia wytworzyła kuriozalny ideał macierzyństwa, który jest tak odległy od matczynej codzienności jak Ziemia od Księżyca. A potem w „Newsweeku” czytamy o 30-latkach zszokowanych, jakie pochłaniające jest dziecko i ile kosztuje czasu, nerwów, nieprzespanych nocy i pogarszających się relacji z jego ojcem. A przecież miały się spełniać, podróżować, realizować własne pasje. Miało być radośnie i fajnie jak w reklamach pieluch, a jest gównianie (dosłownie i w przenośni): cycki wiszą jak u krowy, a jeszcze ten wredny samiec, sprawca ojcostwa, wciąż domaga się uwagi i jest najwyraźniej zazdrosny, niespecjalnie garnąc się do pomocy przy bachorze.

Matki z klasy robotniczej, wsi, miasteczek i gorszych dzielnic dużych miast są w dominującej optyce poradnikowej piętnowane. Zawsze robią coś nie tak, wymierza im się symboliczne razy pod pręgierzem opinii publicznej. Dziecko powinno być zaplanowane, a nie wynikiem wpadki po pijaku lub fanaberii. Należy permanentnie inwestować już od najwcześniejszych lat w jego rozwój intelektualny, emocjonalny i fizyczny, co objawia się w niekończących się zajęciach dodatkowych od pływania i robotyki po angielski i chiński. Zanim gówniarz wyjdzie z łona matki, już powinna ona mieć odłożoną kasę na jego prywatną edukację, najlepiej studia, przy czym raczej w Wielkiej Brytanii lub Stanach Zjednoczonych, a nie w zapyziałej Polsce.

Czas złożyć hołd bezimiennym bohaterkom, które nie wyglądają jak modelki z wybiegu, ich dzieci prawie nigdy nie zostają mistrzami sportu, zamiast ubierać się w butikach, przeszukują lumpeksy w poszukiwaniu fajnego ciucha dla siebie, dzieci i mężów, w dupie mają zakłamaną mieszczańską moralność, są wiecznie sterane robotą i znerwicowane, ale ich życie wewnętrzne jest bogatsze od tych wszystkich wymuskanych lalun, które nie zhańbiły się ciężką bezpłatną pracą w domu (której nigdy nie wiadać, ale i nigdy się ona nie kończy) lub marnie opłacaną harówką w Żabce, fabryce lub przy sprzątaniu biurów.

Pomoże nam w tym właśnie wydana po polsku książka „Pejzaż dobrej kobiety”, autorstwa wybitnej historyczki Carolyn Steedman, której matka (Edna) była córką tkaczki.

Koszmar klasy średniej

Edna miała dla córki życiową mądrość, którą wbiła jej do głowy jak ksiądz dekalog uczniom na katechezie: „Nie ma nic za darmo. Jak czegoś chcesz, musisz iść i na to zapracować”. Słuszne słowa, których znaczenia nie rozumieją te wszystkie roszczeniowe laski, którym na drodze życia rozścielono czerwony dywan.

Jak pisze we wstępie do książki Renata Lis, Carolyn i Edna „były sobie tak bliskie, jak to tylko możliwe, a jednocześnie – obie skrzywdzone i nieodwracalnie w siebie uwikłane. Oparty na nierównościach świat społeczny skomplikował ich osobistą relację w stopniu niewyobrażalnym dla osób grzejących się od dziecka w ciepłe przywileju, do czego w niemającym stopniu przyczyniła się trwająca wieki niemota, w jaką wtrącona została ich klasa społeczna”.

Bo kobiety z ludu, robotnice i bezrobotne od zawsze skazane były na nieistotność i odebrano im prawo głosu. Były przedmiotem rozważań pań z klasy średniej i wyższej, które patrzyły na nie z nieukrywaną wyższością. Już w XIX w. damy z towarzystwa zajmowały się umoralnianiem robotnic, które – o zgrozo! – nic sobie nie robi-

ły z wymogów skromności i seksualnej wstręmięzliwości, puszczając się na prawo i lewo, choć zachowanie cnoty do ślubu było konieczne, aby mieć szacunek ze strony zakłamanych mieszczan.

Gwoli ścisłości, fabrykanci chętnie korzystali z mniej lub bardziej wymuszanych usług seksualnych podległych im pracownic. Już w „Manifestie komunistycznym” Karol Marks i Fryderyk Engels pisali wprost, że męscy przedstawiciele burżuazji „mają do rozporządzenia żony i córki swych robotników, nie mówiąc już o prostytucji legalnej”. Pamiętajmy też o wstrząsającej opowieści o Friedzie zgwałconej przez pracodawcę kobiecie i dzieciobójczyni, nad której losem Małgorzata z powieści Michaiła Bułhakowa się ulitowała w trakcie balu u szatana.

Nuda, upokorzenia i marzenia

Życie matek z klasy robotniczej nie jest utkane z wyjazdów na Bali, sączenia sojowego latte w modnej kawiarni i czytania w oryginale najnowszych książek feministek ze Wschodniego Wybrzeża USA. Raczej z nudy, oglądania ogłupiających seriali w telewizji, czytania porad jak domowym sposobem wywabić plamę z sukienki, wdychania nad ciężkim losem brytyjskiej księżnej, która walczy z rakiem. Martwienia się, czy starczy do pierwszego, biadania, że syn się nie uczy, a córka za dużo imprezuje i na osiedlu mają ją za szmatę, więc może jej być trudno znaleźć kogoś na stałe.

Pamiętam z dzieciństwa świat mojej matki zmagającej się z wychowaniem sześciorga dzieci i użeraniem z mężem, domowym terrorystą. Jej skupienie, gdy zadumana czytała Harlequina, w których niezmiennie przystojny brunet-milioner żenił się z biedną, ale szczerą dziewczyną z ludu, przedkładając ją nad zimną, wyrachowaną sukę z elit czy wyższej klasy średniej. Te wszystkie kolorowe gazety, które dawała po przeczytaniu sąsiadka z dołu (mamy nie było stać na ich zakup), w których były przepisy na ciasta, choć mnie, jako nastolatki, najbardziej ciągnęło do tej strony czy dwóch z czasopisma „Claudia”, gdzie były porady łóżkowe. A do tego kupowanie ścinków serowych i polowanie na markowe ciuchy w lumpeksie.

Okazuje się, że świat mojej matki, urodzonej kilkanaście lat po drugiej wojnie światowej,

dziwnie przypominał realia Edny, urodzonej w Anglii kilkadziesiąt lat wcześniej: „Z dzieciństwa przeżytego w latach 20. w klasie robotniczej, w miejscowości fabrycznej w Lancashire, matka wyniosła pragnienia: eleganckich ubrań, splendoru, pieniędzy; bycia kimś, kim nie była. Choć uczucie to powstało w odległej przeszłości, pragnęła prawdziwych rzeczy, prawdziwych bytów, przedmiotów, których materialnie jej brakowało, przedmiotów, których kultura i system społeczny jej odmówiły. Sama opowiadała o tym właśnie braku, a jej opowieść miała charakter kategorię społeczny. Kiedy świat nie dostarczał jej dóbr – winiła świat”.

Wszystkie te pseudo-lewackie akademicki, które jebią facetów za nieużywanie feminatywów i inne kobiety za marzenia o księciu z bajki, powinny sobie wreszcie uświadomić, że

pochodzenie robotnicze – zwłaszcza dla kobiet – to pasmo upokorzeń, ciągłego przypominania o własnej nieadekwatności, pogardy klasowej tym boleśniejszej, że dokonywanej z wyżyn żargonu naukowego, stanowiąc podłość z premedytacją dokonywaną w białych rękawiczkach.

Ciche bohaterki, oglądające „Na dobre i na złe”, pozwalające nieletnim dzieciakom na picie alkoholu i proszące je, aby poczęstowały mamusię marihuaną, wiecznie znerwicowane i żyjące po swojemu, ciągle siedzące w komórce, żyją, jak potrafią. Wolałyby żyć inaczej, mieć piękne domy i troskliwych mężów, zdolne i grzeczne potomstwo, lecz z uporem pchają ten wózek do przodu, nie zważając na wszelkie przeciwności losu.

I chwala im za to!

K.K.

**Sądy
pobłażliwe dla
wykorzystujących
seksualnie dzieci**

Nawet milion złotych mogą wynieść koszty molestowania seksualnego osób poniżej 15. roku życia – twierdzą polscy badacze. A tymczasem sądy mają w głębokim poważaniu cierpienie poszkodowanych i realne szkody, zasądzając – jeśli w ogóle – skrajnie niskie odszkodowania sięgające niekiedy paruset złotych.

Dorośli lubią liczyć, co zauważył już Antoine Saint-Exupéry w „Małym Księciu”. Nigdy nie interesuje ich to, co naprawdę istotne. Dopiero wtedy, gdy coś można skonkretyzować, zważyć, mierzyć i policzyć, są usatysfakcjonowani. Jak czytamy w „Małym Księciu”, dorośli nie potrafią sobie wyobrazić domu, jeśli słyszą: „Widziałem piękny dom z różowej cegły z pelargoniami w oknach i gołębiarnią na dachu”. Kiedy powie się im „Widziałem dom za sto tysięcy franków”, wtedy wołają „Ach jaki piękny!”.

Z tego względu z mieszanymi uczuciami przyjmę inicjatywę uczonych z prestiżowych polskich uczelni, w tym stołecznej Szkoły Głównej Handlowej (SGH), uwzględniających – z mędrca szkiełkiem i okiem – wszelkie koszty od związanych z aktywnością zawodową (brak rozpoczęcia pracy lub jej utrata), przez terapię i zaburzenia psychiczne czy braki edukacyjne, aż po przedwczesną śmierć.

Policzyć niepoliczalne

W trakcie niedawnego Kongresu Psychiatrii Sądowej w Łodzi Justyna Kotowska, wiceszefowa Państwowej Komisji do spraw przeciwdziałania wykorzystaniu seksualnemu małoletnich

rośnie na Bałutach antysemickie nastawienie, od kilku miesięcy są mniejsze i większe ekscesy, które znosimy, ale żeby tak sruuuu wodą?

Na sznurku – nie, nie żartuję – zjeżdża torba foliowa pełna wody, chlustają nią i sru wodą do środka kuchni. „Spuszczaj, spuszcza, machaj, machaj. Lej, lej, ja cię nakieruję” – gdacze upiorna bliźniaczka do upiornej bliźniaczki. A modlitwa? A katolicki ekumenizm, tolerancja... A fakt – durne pipska – że moja matka jest błada jak trup i zaraz mi zemdleje? Nienawisć, wściekłość i nienawisć skierowana z sobie tylko znanego, urojonego powodu, skierowana z zaskoczenia – kto czegoś takiego nie doznał, ten nie zrozumie.

– Nie mogą oddychać przez żydowski smród? Szybciej pójda do upragnionego nieba – mówię, a matka się wreszcie śmieje.

Rzecz nie do uwierzenia, a jednak realna – nie, nie śmiech mojej matki, tamto. Absolutny dowód na to, że Izrael musi trwać. I że jedyne miejsce, w którym Żydzi są bezpieczni jest wyłącznie tam. Musi być bardzo, bardzo bezpieczne. Antysemici i debile vide Upiorne Bliźniaczki Pietrzak narobiły najwięcej zła Palestyńczykom. Żaden Żyd nie odpuszcza, kiedy zabrania mu się żyć, zabrania mu się oddychać.

Mówię matce, że lepiej woda niż ogień. Lepiej woda niż benzyna i zapalka. Matka mieszka w tym bloku od lutego 1986 r. Ta bardziej „solidarnościowa” z bliźniaczek, tj. działaczka, już tu była – mieszkała z córką, rodzicami, babką... Sąsiedzi. Zwyczajna rodzina.

Mówię matce, że sąsiedzi po prostu chcieli nas ochrzcić.

IZABELA SZOLC

PLURALIS
MAIESTATIS

Sąsiedzi

Bałuty kontynuują zwyczaj łódzkiego getta – ludek odgrodził się i pogrodził. Ludek wciąż boi się, że to, co odgrodził i pogrodził, to mu Żyd zabierze. Wszakże, na przykład, ulica Limanowskiego to dawna ulica Pfeiffera. Jak chce ludek w swoich wspomnieniach, przed wojną fajowo było złapać tutaj małego Icka i obciąć mu pejsy. Taka dziecięca zabawa...

Pan Hitler, gazuąc łódzkich Żydów, pozbawił możliwości żarcików robotniczo-chłopską dzieciarnię. Zły pan Hitler, zły! Inna sprawa, że dzięki jego polityce wypęzło, przypęzło i pozajmowało domki, budy, kamienice. Pan Hitler uczynił z zawiści święty sakrament. Plebs czeka na nowego pana Hitlera! Światowy kryzys sprawił, że zamiast rosnąć, plebsik się osuwa i traci benefity.

Pojezierska. Hipoteczna. Olsztyńska. Limanowskiego. Ciesielska. Zgierska. Sierakowskiego. Urzędnicza. Brzóska. Wspólna. Można by tak wymieniać... Bałuty, Bałuty! Na Limanowskiego wielki napis: „Żydzi zabijają Palestyńczyków!”

Łódzkie Bałuty pozdrawiają Uniwersytet Warszawski... (sarkazm).

• • •

Woda mi chlusta przez okno. Na kota po nosówce, zbyt wolnego, żeby uciec. Później są

siedzi zalewają mi kolejny pokój. I kolejny... Ptaszek płoszy się w klatce.

Dziwna rozrywka jak na bliźniaczki... sześćdziesięcioparoletnie bliźniaczki, emerytki solidarnościowe, które prowadzą obecnie różańcowe kółko pod egidą parafii Najświętszego Serca Jezusowego i świętej Marii Małgorzaty Alacoque, a teraz próbują mnie utopić. A jak nie mnie, to mojego niepełnosprawnego kota. To już znaczne egzorcyzmy nie wystarczą? Kiedyś bliźniaczki lepiły buty w łódzkim Stomilu, latały po dary z rzeczony parafii, ciągle te dolce znajdowały po cudzych, darowanych kieszeniach. Śpiewały w chórze i organizowały strajki. „Niech żyje Lech Wałęsa!” – ryczały z okien po 1990 r. Pisarz, poeta – pamięta, kurwa mać, pamięta.

Co za gówniany kabaret, zupełnie jak Jasia Pietrzaka – Upiorne Bliźniaczki Pietrzak szaleje się napiły, który zewsząd się sączy... Od nowa zapragnęły walczyć z żydokomuną.

Moja mama – lat 80 – trwa w jeszcze większym stuporze niż ja i kocur. Psy milczą. Milczą??? A żreć chcecie?! A upiorne bliźniaczki się prują i wreszcie wiadomo o co chodzi:

– Zamknijcie okna! Dusimy się od żydowskiego smrodu! Zamknijcie okna, bo będziemy łać wodę, żydów! – sruuu znowu woda leci. Mamy 10 czerwca 2024 r. Dzień po wyborach do Parlamentu Europejskiego, bo ponoć my teraz jesteśmy Europa. Od kilku miesięcy

Wyskakuj z kasy, pedofilu!

poniżej lat 15 (PKDP), ujawniła, że komisja przebadła 245 spraw, w których sądy orzekały w sprawach karnych dotyczących przestępstw wykorzystywania dzieci. Zaledwie w 20 z nich zasądzono pokrzywdzonym dzieciom jakiegokolwiek pieniądze, przy czym w przeważającej mierze była to kwota 500 zł.

Innymi słowy: wymiar sprawiedliwości zostawia na pastwę losu pokrzywdzone dzieci, a przecież ich cierpienia są realne, co uświadamia wypowiedź prof. Błażeja Kmiecika z PKDP: „Te koszty są policzalne. Obejmują konkretne szacunki – terapia, czy jej brak, praca, czy też brak pracy, to elementy, które mają swoje konsekwencje ekonomiczne. Zaburzenia psychiczne, które powstają na skutek traumy też wywołują konkretne koszty. Uzależnienia, ból, zaburzenia relacji i funkcjonowania społecznego, a także braki w edukacji, brak rozpoczęcia pracy, a nawet przedwczesna śmierć. Wszystko to mogą być konsekwencje wykorzystania seksualnego w dzieciństwie, a koszty tych skutków można obliczyć.

W raporcie „Ile kosztuje cierpienie dziecka wykorzystanego seksualnie?” opublikowanym parę miesięcy temu przez PKDP czytamy: „Żadne pieniądze nie są w stanie zrekompensować złamanej linii życia. Żadna suma nie doprowadzi do wyeliminowania wspomnień, które często po wielu latach wracają, sprawiając silny ból. Pomimo tego to właśnie środki finansowe są niezbędne, aby wspomóc dzieci i ich rodziny w redukowaniu szkód związanych z podobnym rodzajem molestowania. Uzyskanie pieniężnego zadośćuczynienia stanowi ponadto bardzo ważny element ostatecznego wskazania odpowiedzialności, jaką powinien ponieść sprawca. To również istotny moment przywrócenia sprawiedliwości”.

Eksperti PKDP wyliczyli, iż ogółem owe koszty to między 140 tys. zł a 1 mln zł, z czego największe są związane z życiem zawodowym (ponad 420 tys.) i 10-letnim wsparciem psychologicznym (150 tys.).

Waż w kościelnej kieszeni

Próby zmuszenia sprawców do finansowego zadośćuczynienia za ich podłość wobec dzieciaków szczególnie zaniepokojenie wzbudzała wśród funkcjonariuszy Kościoła katolickiego, bo sądy wreszcie – za późno i zbyt delikatnie – zaczęły orzekać o konieczności wypłaty przez tę instytucję odszkodowań.

Biskupi wylewają morze łez nad ofiarami – oferując im szczególnie wartościową rzecz, a mianowicie modli-

twę o uleczenie z traum (analogiczną modlitwę oferują gwałcicielom w sutannach) – ale ich wrażliwość na krzywdę kończy się w momencie, kiedy trzeba wziąć finansową odpowiedzialność za działania swoich ludzi, którzy wszak bez sutanny i zaufania, jaką u wielu ludzi wciąż ona budzi, nie mogliby gwałcić małałotów.

W marcu 2024 r. biuro delegata Konferencji Episkopatu Polski ujawniło, że w 2023 r. do diecezji i zakonów

wpłynęło 36 zgłoszeń o krzywdzeniu przez klechy osób przed ukończeniem 15. roku życia. Rzecz jasna, to tylko wierzchołek góry lodowej, lecz każda z osób poszkodowanych może żądać setek tysięcy złotych od Kościoła, którego pasterzy śwędzą kutasy

i zamiast zażyć pigułkę samogwałtu, krzywdzą dzieciaki.



Rys. TOMASZ WIATER

We wrześniu ubiegłego roku Bartłomiej Pankowiak, jeden z głównych bohaterów wstrząsającego filmu dokumentalnego braci Sekielskich „Zabawa w chowanego” (do obejrzenia na YouTube’ie, ale to pozycja dla osób o silnych nerwach), uzyskał prawomocnym wyrokiem 300 tys. zł zadośćuczynienia od diecezji kaliskiej, której podlegał były już ksiądz-pedofil Arkadiusz H.

Znamienne, że od wyroku w pierwszej instancji odwołała się diecezja kaliska, faryzeuszowsko twierdząc, że „złożenie apelacji w żaden sposób nie podważa krzywdy wykorzystania seksualnego doświadczonej przez osoby małoletnie ze strony duchownego”, a „Krzywdą ta została jednoznacznie uznana i potępiona przez decyzję sądu kościelnego skazującego sprawcę na karę wydalenia ze stanu duchownego”. Uznała jednak, że za czyny przestępcze winę ponosi przede wszystkim sam sprawca, choć – jakby, kurwa, robiła łaskę! – zadeklarowała ustami swego rzecznika ks. Michała Włodarskiego, „że będzie respektowała i stosowała ostateczne wyroki niezależnego sądu”.

Opór wobec zadośćuczynienia wypłacanego z kościelnej kieszy, choć bezwstydy i podły, jest jednak wyrachowany i nader efektywny. Pierwotnie w sprawie kaliskiej występował Jakub Pankowiak, brat Bartłomieja, który wycofał swoje roszczenia w obliczu zmniejszenia postępowaniem i rozczarowaniem postawą Kościoła katolickiego w Polsce. Im więcej takich dorosłych jak on, nie mających siły i zasobów (także emocjonalnych), by pociągnąć do finansowej (czasem na karą jest za późno przez przedawnienie) odpowiedzialności Kościół, tym mniej zmartwień będą mieli ekonomicznie diecezji i biskupi.

Nie napiszę, że hierarchowie powinni być świadomi, że za tę wtórną wiktyimizację będą się smażyć w piekło, bo – jak donoszą media i co widać po ich postępkach – nie wierzą w męki piekielne (w Boga też chyba nie), za to lubią mieć kasę tu i teraz na ziemi, tej ziemi, jak mawiał JP2.

Łaskawi dla gwałcicieli

Oczywiście, z wielu względów ważne jest uczulenie sędziów, aby byli świadomi, że jakaś kara dla pedofila (o wiele rzadziej: pedofilki), często w zawiśnię, nie załatwia bynajmniej sprawy. Przecież sprawca łamie dzieciakowi życie na lata, czasem doprowadza do przedwczesnej śmierci, także z własnej ręki. Podstawowe zasady współżycia społecznego nakazują, aby jakoś – choćby w przybliżeniu i będąc świadomym dwuznaczności całej sytuacji – wykorzystujący seksualnie osobę poniżej 15. roku życia zapłacił finansowo za swoje zbrodnie.

Wielką wątpliwość budzi jednak fakt potencjalnego dzielenia ofiar – w zależności od sprawcy, czy był nim bezrobotny ojciec lub wujek pijak, czy ksiądz (można pozwać Kościół) albo nauczyciel (można pozwać państwo). Tu jest oczywiste, że Fundusz



Rys. TOMASZ WIATER

Sprawiedliwości, który w rękach ziobrystów stał się zabawką służącą napychaniu kieszeni krewnym i znajomym królika, powinien wkroczyć zdecydowanie, przeznacząc dziesiątki milionów złotych na pomoc ofiarom.

Jako feministka i lewaczka, zastanawiam się nad jeszcze jedną kwestią. Skoro naukowcy dokładnie potrafili oszacować koszty przemocy seksualnej wobec małoletnich poniżej 15. roku życia, dlaczego nikt nie zajmie się – a może się zajął, ale jakoś o tym cicho w przestrzeni publicznej – kosztami przemocy seksualnej wobec osób mających ukończone 15. lat. A są to głównie kobiety, sprawcami – mężczyźni.

Przemocy, która jest przemilczana i lekceważona już na etapie policji i prokuratury, nie wspominając o orzeczeniach sądowych. Parę lat temu autorki raportu „Przełamać tabu” Fundacji Ster napisały, „Nie monitoruje się w Polsce postępowań prokuratorskich dotyczących przemocy seksualnej, w związku z czym nie reaguje się na przypadki zbyt dużej skali umorzeń, co pozbawia osoby pokrzywdzone dochodzenia sprawiedliwości na drodze sądowej.

W oficjalnym raporcie Agencji Praw Podstawowych Unii Europejskiej stwierdzono wprost: „Szczególnie przemoc seksualna jest przestępstwem wszechobecnym”. Jasne jest, że czyny powinny mieć konsekwencje, także finansowe. Skoro nie pomagają apele – a czym one są wobec „gwałtów w twarz”, jak w kontekście filmów Patryka Vegi rapował w kawałku „Influenza” Taco Hemingway? – by nie krzywdzić seksualnie nigdy i nikogo, to może wizja bankructwa i wieloletniego płacenia ofierze przemowy im do rozsądku?

Zatem apel do sędziów: niech pedofilskie i gwałcicielskie skurwysyny płacą za swoje czyny, także grubą forszą. Żadnej litości dla nich i żadnego przedawnienia. Rozliczyć chujów do ostatniej złotówki.

ZUZANNA JURCZYŃSKA

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ W dzisiejszych czasach, kiedy na naszych oczach zbankrutowało tak wiele autorytetów dawnej Solidarności, wielkość ks. Jerzego Popiełuszki staje się jeszcze bardziej uderzająca. W tej perspektywie nie dziwią więc działania obecnego ministerstwa edukacji, na czele którego stoją przedstawiciele lewicy. Zapowiedzieli oni mianowicie usunięcie z programów nauczania historii wiedzy o wielu ważnych wydarzeniach i postaciach z dziejów naszego narodu. **Ofiarą cenzorskich zapędów lewicowych urzędników ma paść również osoba ks. Jerzego Popiełuszki. Okazuje się, że tak jak był dla pewnych środowisk niebezpieczny za życia, tak jest dla nich również niebezpieczny po śmierci.**

Grzegorz Górny, Radio Maryja, 14 czerwca

■ **Nauczanie religii w szkole** stanowi integralną część wychowania człowieka w jego sferze **intelektualnej, moralnej i duchowej**. Treści przekazywane na lekcji religii uczą budowania relacji osobowych, wrażliwości serca, postawy braterstwa, **wzajemnego szacunku i dialogu z przedstawicielami różnych nacji,**

religii i światopoglądów, kształtują postawy oparte na sprawiedliwości i solidarności społecznej, wskazują na wielką godność każdego człowieka, konieczność niesienia pomocy potrzebującym i dbanie o dobro wspólne.

Stanowisko Konferencji Episkopatu Polski w sprawie zmian w organizacji lekcji religii w szkołach podejmowanych przez Ministerstwo Edukacji Narodowej, Warszawa, 12 czerwca

■ Według retoryki, której używa Trzaskowski, oczywiście nie chodzi o usuwanie krzyży i innych symboli drogich katolikom, ale o – jakżeby inaczej! – równość i tolerancję. Trzeba jednak wyjaśnić, że nie chodzi o tolerancję, jak ją normalni ludzie rozumieją. Bo normalnie tolerancyjnemu człowiekowi, wierzącemu lub niewierzącemu, obrazek Matki Bożej Częstochowskiej na biurku urzędnika w niczym nie przeszkadza. Ale tu chodzi o tolerancję rozumianą po marksistowsku, czyli tzw. tolerancję wyzwalającą. (...) Idąc tą logiką, obecnie „tolerancyjne” będzie **wywieszenie na głównym wejściu do urzędu pseudo-tęczowej bandery**, co uczyniono w ostatnim czasie w Krakowie, a intolerancyjny będzie mały krzyżyk na biurku urzędniczym.

ks. prof. Dariusz Kowalczyk, Idziemy.pl, 13 czerwca

■ Niestety, **człowiek uwierzył, że jest kreatorem i sam może stanowić, kim jest, co jest dla niego dobre, a co złe, co mu da szczęście. I ustala...**

że jest innej płci niż obiektywnie, że dobrem, a nawet prawem człowieka jest zabicie dziecka przez matkę albo zabicie „niepotrzebnych” rodziców, że szczęście można zdobyć przez zażywanie przyjemności (hedonizm), lub/i przez spełnienie swoich egoistycznych planów bez Boga i bez miłości (indywidualizm i samorealizacja). Takie myślenie wprowadza człowieka na manowce i daje uludę szczęścia ludziom obiektywnie głęboko nieszczęśliwym (bo bezbożnym i wynaturzonym). **W naturę człowieka jest wpisana tęsknota do Boga.**

dr Jacek Pulikowski, PCh24.pl, 13 czerwca

■ W pierwszym dziesięcioleciu po przełomie 1989 r. – przeżywamy pod znakiem transformacji ustrojowej od komunizmu do demokracji – mieliśmy do czynienia z czymś w rodzaju „eksplozji katolicyzmu”. W drugim okresie, trwającym do dziś, przeżywamy pod znakiem tzw. spontanicznej sekularyzacji, obserwujemy spadkową tendencję w statystykach kościelnych. (...) Wyrażne nasilenie tych tendencji, **otwarcie nowego typu sporów światopoglądowych oraz radykalizacja sekularnych postulatów i brutalność form ich wyrazu nastąpiły po wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej w 2004 r.** Trzeba podkreślić, że **radykalny sekularyzm** nie stanowił wcześniej części polskiej kultury politycznej. **Był postawą przywiezioną na sowieckich**



Rys. OBYWATEL JANEK

czolgach. Dzisiaj reprezentowany jest np. przez niektórych polskich europosłów należących do frakcji lewicowych w PE, **radykalne organizacje feministyczne i ruchy gejowskie.**

abp Stanisław Gądecki, ekai.pl, 12 czerwca

■ **Wiara broni rozum**, ponieważ zawiera przekonanie, że prawda istnieje, można ją poznać oraz **ma źródło w Bogu.**

ks. Janusz Chyła, X, 12 czerwca

KLECHA

Jak wiadomo, szczepionki szkodzą, Ukrainą rządzą faszysty, policjanci potrzebują pieniędzy staruszek, Tusk ogłosi mobilizację, a Tupolew spadł w Smoleńsku w wyniku zamachu... Dzięki powszechności internetu pierwszy raz w historii ludzie mogą w czasie rzeczywistym wymieniać się doświadczeniem, wiedzą, wynikami badań i głębią przemyśleń. Ludzkość stanęła przed szansą, by wreszcie wybić się na mądrość.

Uczucie lekkości

„Mam 19 lat i moja waga przekroczyła 80 kg... dramat!” – pisze Agnieszka. Jest jedną z tych, które „próbowały już wszystkiego”, aby w końcu, na kobiecym forum odkryć zbawczą moc lewatywy. Wykonuje ją sumiennie od pół roku, choć efekty, prócz ogólnego poczucia lekkości, na razie jej nie zadowalają. „Pierwszą zrobiłam, gdy rodzice pojechali na groby. Liczyłam na to, że na wiosnę znów będę chudziutka, koło 60 kg. Widać na efekty trzeba będzie jeszcze trochę zaczekać”...

Oczywiście „pierwszy raz” opisała na forum ze szczegółami. „Kupiłam w sklepie ze sprzętem medycznym taki worek do tego, miał rurkę z takim specjalnym zakończeniem, żeby łatwiej było wsadzić wiadomo gdzie i jeszcze na tej rurce był taki kranik. Tę końcówkę wysmarowałam kremem do rąk, łatwo się dzięki temu wsadzała, ale trzeba było uważać, żeby nie wyskoczyła. Zawartość worka dosyć wolno się we mnie wlewała, ale przyspieszyłam to ściskając worek, nalałam drugą porcję (chyba na jeden raz wchodzi trochę ponad 0,5 l). Jeszcze 3–5 minut chodziłam i robiłam ruchy biodrami, żeby się wszystko dobrze wypłukało. Po takiej serii ma się uczucie lekkości i wyjątkowej czystości!”.

Pani Agnieszka nie jest sama, bo na forum

użytkowniczek lewatywy są dziesiątki i nie mogą się nachwalić, jak to płukanie dupy skutkuje spadkiem wagi. Ba, miłośnikami wkładania rurki bywali Edyta Górniak, Maja Sablewska, Małgorzata Foremniak czy Tomasz Kammel. Jednak w celebryckim slangu lewatywa to nie lewatywa, ale hydrokolonoterapia.

Zabieg proponowany przez większość prywatnych przychodni w cenie od 150 zł za godzinną frajdę. Jak piszą na swoich stronach prywatne kliniki: „Przez zwolenników medycyny naturalnej hydrokolonoterapia uważana jest za sprawdzony i skuteczny sposób na pozbycie się z organizmu odkładających się toksyn oraz całkowite oczyszczenie jelita z zalegających w nim mas kałowych”. Dodając kilka akapitów dalej, że „skuteczność ogólnoustrojowa tego zabiegu nie została potwierdzona w badaniach naukowych, dlatego na tym etapie wyłonienie rzetelnej wiedzy i danych na temat hydrokolonoterapii nie jest możliwe. Jest również wiele publikacji zwracających uwagę na zagrożenia, z jakimi wiąże się zabieg”. Kto by jednak czytał taki tekst do końca i ze zrozumieniem? Najważniejsze jest przecież usunięcie toksyn.

Płynne panaceum

Żeby tylko jednak... Płukanie odbytu zwalcza bolesne miesiączkowanie, endometriozę czy zespół napięcia przedmiesiączkowego. To zastosowanie lewatywy spopularyzowały Amerykanki. Pani z innego forum internetowego pozbyła się w ten sposób swoich dolegliwości. I teraz radzi wszystkim cierpiącym: „W przypadku bolesnych miesiączek lub napięcia brzucha przy miesiączce należy użyć do wiania ok. 1/3 do 1/2 nawet płynu mniej w za-



Przez internet do tyłka

leżności od samopoczucia. I bezwzględnie należy pamiętać o zażyciu kapsułki (o ile nie była dodana do wlewu) z bakteriami po lewatywie”. A że żaden z ginekologów nigdy nie słyszał o dobroczynnym wpływie wlewów doodbytniczych na narządy rodne?

Jak się ma zaburzenia seksualne, to trzeba zastosować 1,5 do 2 l. Tylko niewiele osób jest w stanie przyjąć dużą, trzylitrową lewatywę. Po zaaplikowaniu lewatywy trzeba leżeć przez 5–10 minut. Nie powinno się pozwalać na wypróżnienie przy pierwszych parciach. Należy je przeczekać i dopiero usiąść na sedesie.

Lewatywa we dwójkę to zabieg niezwykle intymny i przez to zbliżający ludzi. Powoduje, że stają się bardziej

otwarcy i gubią zahamowania uniemożliwiające normalne życie seksualne. I chyba w tym tkwi cała tajemnica.

Kamieni kupa

Jak głosi jeden z dogmatów fanów wlewania w siebie płynów od tyłu: „z wiekiem jelito grube zapycha się kamieniami kałowymi. Kamieni tych nosimy w sobie nawet do kilku kilogramów. Zdeformowane jelito uciska narządy i wypycha je ze swoich miejsc. Miejsca, w których kamienie kałowe przylegają do ścianek jelit, są słabo odżywione i ukrwione oraz zatrute toksynami. W wyniku tego rozwijają się różnego rodzaju zapalenia jelita grubego, hemo-

roidy a w miejscach przylegania kamieni rosną sobie polipy i rakowate guzy. Ścianki jelita mają grubość jednego do dwóch milimetrów. Przez te cieniutkie błonki toksyny przenikają sobie do organów i zatrują je. Tak powstają choroby narządów wewnętrznych. Żadne leczenie farmakologiczne nie ma tu sensu, bo toksyny z jelit nieustannie rozprzestrzeniają się i nie pozwalają na wyzdrowienie. Bez czystych jelit nie ma zdrowia”.

Żeby się więc pozbyć chorób tarczycy, wątroby, serca, płuc, żołądka, nerek, pęcherza, jajników i prostaty należy skorzystać z lewatywy z litra do dwóch przygotowanej i całkowicie wystudzonej wody z łyżeczką soli – najlepiej morskiej, nieoczyszczonej – oraz łyżką soku z cytryny na litr wody. Woda nie powinna być ciepła, gdyż rozpuściłaby masy kałowe w jelitach, a wtedy przedostaną się do krwi i wywołają natychmiastowy ból głowy. Dodać łyżkę soku z cytryny do zakwaszenia środowiska jelit. To ważne, bo gnijąca treść kałowa tworzy środowisko zasadowe. Aby przywrócić naturalne, lekko kwaśne środowisko, w którym rozwija się korzystna mikroflora bakteryjna, należy dodać do lewatywy czegoś kwaśnego. Jak nie ma się cytryny, można zastosować ocet jabłkowy, sok z żurawiny lub czarnej porzeczki. Na sam koniec dosypać trzeba jeszcze pół łyżeczki soli.

Lecząca nowotwory woda nie musi zostawać długo w jelitach – wystarczy około dwóch minut. Jednak by uodpornić się na wszelkie dolegliwości, nie można poprzestać na jednym razie. W pierwszym tygodniu trzeba robić wlew codziennie. W drugim tygodniu – co drugi dzień. W trzecim tygodniu – oczywiście – co trzeci dzień. Ale od czwartego tygodnia tylko raz na tydzień.

Po takiej kuracji rak idzie precz. Gdyby jednak nie, to o odybytniczej terapii nie wolno powiedzieć proktologom, czy onkologom. Mogliby się udusić ze śmiechu. Tak jak po tym, gdy ktoś wspomni przy nich o doktorze Gersonie. Faciecie, który kilkadziesiąt lat temu wprowadził jako podstawę swojej kuracji antynowotworowej lewatywy z kawy. A właściwie kilka lewatyw kawowych dziennie.

Używana do lewatywy kawa mielona winna być średnio lub lekko palona. Trzy łyżki zmielonej kawy wysypujemy do litra gotującej się wody, gotujemy około trzech minut, a potem, na najmniejszym płomieniu, pod przykryciem, gotujemy jeszcze piętnaście. Zdejmujemy kawę z ognia, odcędzamy, dopełniamy wodą do jednego litra i studzimy. Kawę trzymamy w jelitach około 12–15 minut.

Co by tu jeszcze?

Wyznawcy muszą mieć swoich naukowych guru. Miłośnicy wlewów doodbytniczych z moczu też mają. Nazywa się Giennadij Małachow, napisał książkę pt. „Oczyszczanie organizmu”. Z niej zaś można się dowiedzieć, że najdoskonalszym środkiem do oczyszczania jest uryna. Mocz należy przytrzymać w jelitach od 5 do 15 minut. Powinien być ciepły, potrzeba go ok. 1 l. Jeżeli ma więcej niż dobę, należy siuski przygotować i wystudzić. Fundamentalności lewatywy z moczu uważają jednak, że najlepszy jest taki, wysikany tuż przed. Inne źródła podają, że skuteczniejsza jest jednak lewatywa z odparowanej uryny. Należy zebrać dwa litry płynu i odparować do około jednej czwartej objętości. Po wykonaniu

serii wlewów znikną zmarszczki, poprawi się wygląd skóry i będzie się ładniej pachniało.

Jest jednak rzecz, która dzieli środowisko miłośników lewatywy z moczu. Eksperci nie mogą bowiem dojść do porozumienia w kwestii zasadniczej: czy wlewać w siebie siki własne, czy cudze?

Czy po tym wszystkim zdziwi kogoś, że dzięki lewatywie z czosnku likwidującej czarny nalot na zębach można oszczędzić na stomatologu? A to stąd, że nalot jest oznaką wytworzenia się pleśni i zwyrodnienia błon śluzowych jelita grubego, a także braku witaminy A.

Wystarczy zatem wcisnąć cztery ząbki czosnku, dodać do 300 ml przefiltrowanej, przygotowanej i ostudzonej wody. Pozostawić na dwie godziny, odcedzić, podgrzać do 36–38 st. C i aplikować analnie. Im świeższy czosnek, tym większe i szybsze parcie. Za pierwszym podejściem wlewa się maksymalnie do chwili, gdy poczuje się konieczność wypróżnienia. Eksperci każą robić wlew przy sedesie. Drugie podejście utrzymuje się dłużej – ok. 2 min. Minusem kuracji jest mocny chłiwowy – aż do wypróżnienia – ból brzucha oraz przekleństwa osoby korzystającej po zabiegu z toalety.

Czosnek to jednak nic. Dr Alisdair MacConnachie ze szpitala w Glasgow stosuje lewatywę z kału w terapii u chorych cierpiących z powodu trudnej do usunięcia infekcji jelita grubego bakteriami o nazwie *Clostridium difficile*.

Działanie wlewu z kupy polegać ma na tym, że przywraca choremu właściwą florę bakteryjną. Specjalista zapewnia, że od 2003 r. wyleczył w ten sposób 20 pacjentów. Zabieg odbywa się w szpitalu. Chory najpierw przez kilka dni otrzymuje antybiotyki osłonowe. W dniu przyjęcia do szpitala od osoby zdrowej pobierana jest próbka 30 g stolca, który jest mieszany z płynem zawierającym sól fizjologiczną. Najlepiej, gdy dawcą kału jest osoba spokrewniona i żyjąca w tym samym miejscu, a także podobnie się odżywiająca, bo wtedy jest duże prawdopodobieństwo, że w jej organizmie jest flora bakteryjna taka jak u chorego.

Lewatywę z użyciem kału od 1999 r. stosuje również prof. Lawrence Brandt, gastroenterolog z Nowego Jorku. Wypróbował ją na dziesiątkach pacjentów i ocenia jej skuteczność na 90 proc. Zdaniem amerykańskiego lekarza przepłukiwanie jelita stolcem może być przydatne w leczeniu biegunk, zaparc i zespołu jelita drażliwego.

Na koniec wróćmy do dr Gersona. Jego najmocniejszy detoks to lewatywa z oleju rycynowego. Dzięki niej przechodzi migrenowy ból głowy. Oczyszcza wszak świetnie jelito cienkie. Należy sporządzić mydliny z 1 litra ciepłej wody i mydła toaletowego w płynie, dodać 3–4 łyżki stołowe oleju rycynowego, wsypać zawartość 4–6 kapsułek odtłuszczonej, suszonej, sproszkowanej żółci młodych zwierząt lub pół łyżeczki sproszkowanej żółci wołowej, mieszać do wytworzenia emulsji, następnie dodać 30 kropli roztworu kofeiny. Trzymać tak długo, jak się da.

Bez internetu o tym wszystkim wiedziałaby garstka osób. Dzięki internetowi wlewy doodbytnicze stosują miliony. Cieszą się producenci urządzeń do lewatywy, sprzedawcy kawy, kliniki oferujące hydrokolonoterapię i ludzie z wykształceniem medycznym, którzy żyją z pisania książek i wciskania płynów w tyłki ludzi.

TOMASZ BOROWIECKI

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

★ W mediach gruchnęła informacja, iż Tomasz Piątek ma zostać zatrudniony przez MSZ na stanowisku specjalisty ds. dezinformacji. Zainteresowany zdecydowanie zaprzeczył w mediach społecznościowych. Jak mawiał carski dyplomata Aleksander Górczakow: „Nie wierzę w informacje niezdementowane”.

★ Tymczasem do roli ukraińskiego Piątka pretenduje była minister ochrony zdrowia Uljana Suprun. W wywiadzie obwieściła, że winni przerwaniu dostaw broni z Zachodu są sami Ukraińcy, ponieważ mieli czelność przyznać, iż Ukraina jest skorumpowanym krajem, „a kiedy wybuchła pełnoskalowa wojna, to ci sami ludzie jadą do Waszyngtonu i proszą o pomoc”. Ponadto amerykańskie think-tanki są przesiąknięte rosyjską agenturą, gdyż jest tam „pełno ludzi, którzy ukończyli radzieckie

czy rosyjskie studia”. Suprun jest na Ukrainie powszechnie nazywana „doktor-śmierć”. Konkretnie – śmierć mózgowa.

★ Na łamach dziennika „Polska” Arlena Sokalska z urzędowym optymizmem komentuje tzw. „szczyt pokojowy” zorganizowany przez Ukrainę w Szwajcarii: „Udało się zgromadzić ponad 100 krajów i organizacji międzynarodowych (...). Ze swojego 10-punktowego planu pokojowego, ogłoszonego przez prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zeleńskiego, wybrała tylko trzy: bezpieczeństwo atomowe, żywnościowe oraz wymianę jeńców (...). Te kwestie wybrano nieprzypadkowo: po pierwsze są one bardzo ważne, po drugie wokół nich można było stosunkowo łatwo wypracować konsensus. Widać go w konkluzjach szczytu”. Rezygnacja z ogromnej większości propozycji,

w tym wszystkich dotyczących przynależności państwowej spornych terenów; ograniczenie się do spraw już realizowanych (żadne z mocarstw atomowych nie planuje wykorzystania broni jądrowej w wojnie na Ukrainie, korytarze żywnościowe na Morzu Czarnym funkcjonują, a wymiana jeńców odbywa się regularnie) jest faktycznie ogromnym sukcesem. Jeszcze większym jest zignorowanie szczytu przez Joe Bidena i Xi Jinpinga i odmowa podpisania konsensusu przez przedstawicieli największych państw Azji, Afryki i Ameryki Południowej.

★ Maciej Pieczyński na łamach „Do Rzeczy” zreżniesz opisuje aktualną sytuację na Ukrainie: „Dwa i pół roku po inwazji degeneracja elit rządzących nad Dnieprem jest faktem tak oczywistym, że można o nim mówić bez obawy przed posądzeniem o prorosyjskie sympatie. Kijów wypowiedział wojnę korupcji, ale na razie albo tę wojnę przegrywa, albo kolaboruje z wrogiem. Gdzieś zaginęło 40 tys. sztuk broni, które Amerykanie przekazali Ukrainie. Zamiast

na front prawdopodobnie trafiły w ręce zorganizowanych grup przestępczych, w tym do albańskiej mafii”. 28 lutego premier Albanii i prezydent Ukrainy podpisali porozumienie „o przyjaźni i współpracy”. W końcu dowiedzieliśmy się, na czym ta współpraca polega.

★ „Polityka” przedstawia kolejne dowody miłości Ukraińców do swojej ojczyzny: „Jurij, przedsiębiorca budowlany mieszkający w Polsce, jest pesymistą. Nie zamierza zgłaszać się do wojskowych komend uzupełnień ani oświadczyć, ani elektronicznie. Jego paszport jest ważny jeszcze rok. – Co potem? – Jeśli nadal będą mi odmawiali usług konsularnych, stanę w Polsce nielegalnie albo postaram się o ochronę międzynarodową. Podobnie myślą wszyscy moi znajomi. Jeden z nich powiedział: »Najwyżej zbiję szybę w sklepie i pójdę siedzieć«. – A po wojnie? – Też nie mam zamiaru wracać”.

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

Filety z Czwartosa

W oparach sztuki wyklętej



WIARA CZYNI CZUBA

1. Liberty Counsel – taka ewangelikańska wersja katolickiego Ordo Iuris – uznała, że rocznica homofobicznego ataku na gejowski klub Pulse w Orlando to znakomita okazja do promowania terapii konwersyjnej. W masakrze dokonanej przez samozwańczego bojownika Państwa Islamskiego Omara Mateena zginęło 50 osób, a 53 zostały ranne. W przeddzień rocznicy bigoci z Liberty Counsel ogłosili z dumą, że jeden z ocalałych, Angel Colon, kieruje obecnie organizacją, zajmującą się poradnictwem w zakresie „chrześcijańskiej zmiany” – czytają: odpędzenia. Angel powiedział LC, że podczas masakry był „pijany i naćpany”, a także „przeżarty, że będzie następny” i doznał „proroctwa”, które kazало mu „zawierzyć swoje życie Panu”. Prorocy z zasady bywali pijani i naćpani, czemu Angel ma być gorszy?

2. Po oburzeniu, jakie zapanowało po ujawnieniu wypowiedzi o nadmiarze „pedałstwa” w Kościele, Franciszek usiłuje się zrehabilitować w oczach postępowych wiernych, prezentując się jako luzak i w ogóle klavvy gość. Zaprosił do siebie 100 komików, w tym Whoopi Goldberg, Jimmy’ego Fallona i Chrisa Rocka, żeby powiedzieć im, iż śmianie się z Boga „nie jest bluźnierstwem”, bo to tak jak „żartowanie sobie z osób, które kochamy” i że sam Bóg się śmieje z inteligentnych dowcipów. Dodał jednak, że „że humor może być używany bez obrażania uczuć religijnych wiaryzących, zwłaszcza ludzi biednych”. Z naszego doświadczenia wynika, że biedni nie mają czasu na przeczyszczenie netu pod kątem dowcipów, które obrażają ich uczucia religijne; to zajęcie pasibrzuchów w sutannach i ich suto opłacanych socjuszy, np. z Ordo Iuris.

3. Niezależnie od tego, co myślimy o papieżu i jego słownictwie, warto odnotować entuzjazm, z jaką ruch antyfranciszkowy idzie za ciosem. Portal „Silere non possum” („Nie mogę milczeć”) ogłosił ostatnio, że podczas spotkania z księżmi diecezji rzymskiej na Papieskim Uniwersytecie Salezjańskim, Franciszek znowu opowiadał o „pedałach”, „aurze pedałstwa” oraz o tym, czy ktoś, kto „jest pedałem”, może przystępować do komunii. Spotkanie, w którym brało udział kilkuset księży, miało miejsce 11 czerwca – dwa tygodnie po całej zadymie z „pedałstwem” i oficjalnych przeprosinach Watykanu w tej sprawie. Możliwe wnioski są dwa: albo Jorge Bergoglio jest kompletnym idiotą, albo „Silere non possum” kłamie. Ciekawe, że jego rewelacje sprawozdaje szczegółowo katolicki portal informacyjny CNA.

4. Ten sam portal donosi z przejęciem o świętym Antonim, którego święto przypada w połowie czerwca. Św. Antoni, zwany padewskim, ma w Padwie własną bazylikę, w której w specjalnym złotym relikwiarzu przechowywane są jego język, dolna szczęka pełna zębów oraz chrząstka nagłośniowa. Jak wyjaśnia CNA, relikwie to owoc z ekshumacji z roku 1263. Wtedy, 30 lat po śmierci świętego, okazało się, że „całe ciało św. Antoniego zamieniło się w popiół i kości, z wyjątkiem aparatu głosowego, który wciąż był mokry i miękki” – co ze szczegółami opowiedział portalowi brat Mario Conte z opiekującego się bazyliką zakonu Braci Mniejszych Konwentalnych (taka odmiana franciszkanów). Ku pamięci cudu drugie święto św. Antoniego obchodzone jest 18 lutego, w dniu pozyskania języka na potrzeby bazyliki.

5. Pastor Kyle Lammott z kościoła o pogodnej nazwie „Exodus”, działającego w Wichita w stanie Wisconsin, umyślił sobie sposób na sabotaż Miesiąca Dumy, w ramach którego m.in. biblioteki eksponują i promują książki o tematyce LGBTQ+. „Jeśli kochasz bliźniego swego i swoją społeczność, zbierz kilku mężczyzn ze swojego kościoła i opróżnijcie lokalną bibliotekę ze wszystkich książek LGBTQ+” – wezwał. Pastor Kyle swój wpis na platformie X uzupełnił zdjęciem sterty uprowadzonych przez jego wiernych książek. Miejska biblioteka odpowiedziała: „Dowiedzieliśmy się, że lokalny przywódca religijny opróżnia biblioteki z książek LGBTQ+ w ramach protestu. Kiedy jakieś książki są masowo wypożyczone, wskazuje to, że powinniśmy kupować ich więcej, aby zaspokoić zainteresowanie społeczności”. Szach i mat.

Centrum Sztuki Współczesnej w Zamku Ujazdowskim postanowiło pokazać jedną z najgłośniejszych w ostatnim czasie wystawę malarstwa Ignacego Czwartosa, zwycięzcę otwartego konkursu na ekspozycję w Pawilonie Polskim w Wenecji – konkursu, którego wynik został unieważniony decyzją byłego ministra kultury Bartłomieja Sienkiewicza. Kiedy dotarłam na wernisaż, akurat skończyło się wino. Chwilę później wpadłam na dziennikarza Roberta Mazurka i wtedy pomyślałam, że limit chujozu na ten wieczór zwyczajnie musiał zostać wyczerpany. Żadna otarcia się o brud prawicowego patriotyzmu wkroczyłam do sali wystawowej spięta jak przed obejrzeniem porno z pterodaktylami – człowiek niby się brzydzi i spodziewa śmierci ego, ale wie, że oczu prędko nie oderwie. Otóż pomyliłam się dwukrotnie.

Artysta wypięty

Zaprezentowana w mniejszej skali poza oficjalnym programem Biennale „Polonia Uncensored 2 / Polonia bez cenzury 2” powstała „po pierwsze z przekonania o bardzo wysokiej randze artystycznej i intelektualnej malarstwa Ignacego Czwartosa, po drugie z niezgody na próbę politycznego dławienia wolności artystycznej, po trzecie zaś z przekonania, że niepokazanie w Wenecji tej ważnej i aktualnej wystawy polskiego artysty byłoby niepowetowaną stratą dla polskiej kultury” – skwapliwie wyjaśnili w opisie wydarzenia kuratorzy wystawy Piotr Bernatowicz i Dariusz Karłowicz, podkreślając zachętę na potrzeby afektacji hasłem: „zobaczcie, póki wolno”. Najwyraźniej przesiąknięci po gumę gaci etosem sztuki wyklętej panowie mniej lub bardziej świadomie postanowili pozamerytorycznie uskutecznić skojarzenie z nazistowską listą „artystów zdegenerowanych”, według której komitet pod przewodnictwem ulubionego malarza Hitlera Adolfa Zieglera oczyszczał niemieckie instytucje kultury z dzieł odbiegających od linii partii.

Będący ofiarą tej złej liberalnej (by nie nadużyć słowa lewackiej) cenzury artysta sam siebie nazywa „malarzem Polskim”, a niekiedy nawet „współczesnym sarmatą”. Jeszcze trzy lata temu był twórcą niszowym. Odbicie sztuk wizualnych przez PiS i afera wokół weneckiego biennale sprawiła, że jego nazwisko kojarzy wielu, a przekręcają nieliczni. Postanowiłam naocześnie sprawdzić, dlaczego prawicowy Wilhelm Sasnal, sprężony ideologicznie z przekazem dobrej zmiany, według nowej władzy nie wpisał się swoimi dziełami w hasło weneckiej imprezy „Obcokrajowcy są wszędzie”.

Dobry pies

Złośliwi twierdzą, że skoro Czwartos jest wybitnym malarzem, to poseł Mejza jest genialnym lekarzem. Zupełnie niesłusznie, bo warsztatowo obrazy są dobre. Na wystawę zapraszało płót-



no „Nord Stream 2”. Symbolika pokroju kibolskich murali nie pozostawiała zbyt wiele miejsca wyobraźni. Zwróceniu ku sobie uśmiechnięci Angela Merkel i Władimir Putin wskazują na skrzyżowane rury, z których wydobywa się coś białego – całość kształtem przypomina swastykę. U góry i u dołu wanitatywne czaszki, tytuł obrazu umieszczono gotyckim krojem pisma na rozwinie-tym zwoju. To preludeum niemieckich motywów kolekcji. W zasadzie można ją podzielić na dwie części: antygermańską oraz wznoszącą na piedestał żołnierzy – podobnie jak artystę – wyklętych. Całość choć zgrabnie, to jednak wysmarowana w mdłym do wyrzutu patosie martyrologii narodu Polskiego walczącego z dwoma odwiecznymi okupantami. Moją uwagę przykuł „Owczarek niemiecki”, całkiem przyjemne psisko okolonetrzema odciętymi ludzkimi kończynami w charakterystycznych pasiastych rękawach. Po II wojnie światowej ze względu na złą sławę Niemiec w krajach alianckich owczarka niemieckiego zaczęto nazywać owczarkiem alzackim. Trend nie utrzymał się długo i dziś jak Europa długa i szeroka owczarek wciąż jest niemiecki. Ktoś mniej zorientowany w historii obozowych realiów, patrząc na łagodny wyraz psiego pyska mógłby błędnie założyć, że idzie tu o głaskanie zwierza, a nie o traktowanie przezeń więźniów jak świńskiego udźca. W zasadzie równie dobrze na płótnie mógłby się znaleźć niemiecki dachshund, czyli jamnik. Nikt by nie zauważył.

Na szczęście jeden z kolejnych obrazów przedstawiał Hermanna Schapera, niemieckiego zbrodniarza wojennego otoczonego nazwami miejscowości, w których miały miejsce mordy na Żydach. Można więc było zatem założyć, że człowiek będzie miał pewność, na jaką nutę będzie grana ta melodia. Chociaż i tu chciałoby się przypierdolić do pewnej nieścisłości. Wśród nazw wsi i miaste-

czek pojawia się Jedwabne, pomijając zupełnie nieprzychylnie udział polskiego pierwiastka w grillowaniu przeludnionej stodoły. Wyjątkowo niepatriotyczne, jak na tak konserwatywnego artystę podejście.

Przekłęci i wykłęci

Gdzie nie rzucić okiem, średniowieczne ikony świętych wystylizowane w manii obsesji munduru. Taki dajmy na to obraz „Śmierć jest mistrzem Niemiec” ukazujący bestie z Auschwitz-Birkenau: Irmę Grese oraz Josefa Kramera, komendanta obozu w Brzezince. „Oto niemiecka matka i niemiecki ojciec” – głosi po niemiecku umieszczona w obrazie tablica z trupa czaszką, czym Czwartos miał się odwoływać do niemieckiego serialu „Nasze matki, nasi ojcowie”. Sztampa najprostszych skojarzeń w tym przypadku to śliski parkiet do tańca. Druga grupa płócien uzupełnia cykl obrazów traktujących o żołnierzach wyklętych. Styl Czwartosa, który w dosyć specyficzny sposób ukazuje fizis, wojskowe mundury i oficerki, chce się z biegu podsumować stwierdzeniem: walonki na salony. W związku z tym widz znajduje się o krok od nieszczęścia, bo postacie z obrazu „Janina Żubryd i Antoni Żubryd »Zuch«” wiszące po drugiej stronie salonu wystawowego, jeśli zmrużyć oczy lub zapomnieć okularów, są niepokojąco podobne do hitlerowskich zbrodniarzy.

Jedno z dzieł Czwartosa nawiązuje do Andrzeja Wróblewskiego (1927–1957) i jego „Ryby bez głów” (a konkretnie „Obrazu na temat okropności wojennych”). Zamiast martwej natury Czwartos zdecydował się na zdefragmentowane, niemal wyfiletowane geometrycznie rozłożone ciała wyklętych. Truchła na obrazach artysty kojarzą się z katolickimi męczennikami, a niekiedy nawet Jezusem, przez co nabierają groteski. Ta w najlepszym razie czyni je przezroczytymi, w najgorszym – śmiesznymi, albo odwrotnie. Tym samym prawicowa rewolucja historycznej wyobraźni przypomina kolekcję konserw o niezdatnej do spożycia zawartości, a to w zasadzie żadne zaskoczenie. Partijna sztuka zaangażowana spłynęła jak szczyna po pisuarze.

Kręcenie afery wokół przyjebania drzwiami weneckiego festiwalu w nos prawicowego pupila uważam za zupełnie niepotrzebny zabieg marketingowy. Po odwiedzeniu wystawy stwierdzam, że Czwartos pod wieloma względami jest świetny i dam sobie obciąć kawał wasy, że jeszcze przez wiele lat będzie rozchwytywany. Elita spod lewicowych i liberalnych sztandarów nie odpuści okazji, żeby za jakiś czas w ramach ironii nie ozdobić nimi ścian. Autorzy kiczu w rzemiośle byli sprawni, a tego Czwartosowi odmówić nie można.

IDALIA DUBICKA

„Państwo polskie jest po stronie twórców” – rzekł Donald Tusk, czym ucieszył ludzi żyjących z pobierania haraczu.

Kiedy ponad dekadę temu na ulice wyległy tyśiące młodych ludzi protestujących przeciwko umowie ACTA, okazało się, że kwestia praw autorskich ma się dzisiaj nijak do świata, w którym niepodzielnie króluje internet. Udało się i Parlament Europejski wyrzucił do kosza akt, na mocy którego każdy, kto korzysta z internetu, mógł się spodziewać amerykańskiego wezwania do zapłaty. Zdawało się wtedy, że parlamenty krajowe pójdą za ciosem i XIX-wieczna egzekucja praw autorskich legnie w gruzach.

Nic z tych rzeczy. Pasożyty żyjące z wyciągania kasy z naszych portfeli za ochronę praw autorskich mają się w najlepsze. Kiedyś przekonały się o tym miliony użytkowników kablówki UPC, gdy przyszło im w abonamentach zapłacić Stowarzyszeniu Filmowców Polskich wielomilionowe odszkodowanie za oglądanie w swoich telewizorach polskich filmów. UPC przerzuciło w sądzie apelacyjnym proces z SFP i musiało zapłacić trzykrotność wynoszącej 2,2 proc. wpływów stawki.

Twórca odtwórca

Walka z zaiksami trwa w najlepsze od dekady, bo już w październiku 2015 r. gotowe miało być rozporządzenie nakładające obowiązek uiszczania na rzecz twórców dodatkowej opłaty od produkcji i importu m.in. smartfonów i tabletów. Dzięki temu artyści mieli zostać zasileni jakimiś 300 mln zł rocznie. Pieniędźmi ludzi, którzy nie mieli zielonego pojęcia, że ich telefon ma cokolwiek wspólnego z filmami i muzyką. Smartfon bowiem dla połowy jego użytkowników jest urządzeniem do telefonowania, wysyłania SMS-ów i korzystania z messengerów. Owcześniejszej koalicji PO-PSL to nie obchodziło. Ministerstwo kultury uznało, że skoro na czymś da się odtwarzać muzykę i filmy, to od tego czegoś należą się tantiemy. A że telefony i tablety miały podrożeć o 10 proc.? No cóż, czymże są pieniądze w stosunku do kultury?

Tymczasem to wszystko nieprawda. Obowiązująca koncepcja ochrony praw autorskich pochodzi sprzed ponad wieku i ma się do dzisiejszego świata opartego na informacji i przekazie jak pięść do kózucha. Zaś parafiskalne twory o nazwie organizacji zbiorowego zarządzania prawami autorskimi to nic innego jak afiliowani przy państwie wyłudzacze haraczu.

Wiele lat temu wykielkowała konstatacja, że jeżeli ktoś stworzył coś, co innym pozwala z tego czegoś czerpać korzyści, to autorowi należą się za to pieniądze. Zasada skądinąd słuszna. Tyle że za twórców uznano jedynie drobny wycinek ludzi zajmujących się twórczością.

Za wybudowanie wolnostojącego domku murarz z reguły dostaje zapłatę. Jeśli robota jest w pełni legalna, to płaci od niej 12-procentowy PIT. Za to co zrobił, nie zobaczy więcej złamanego grosza. Taki zaś muzyk wybrzdąka coś, zawyje i biegnie do firmy, której jego praca przypada do gustu i postanawia wydać utwór na płycie. Muzyk dogaduje się z wytwórnią co do honorarium i zasad, by po jakimś czasie dostać wynagrodzenie. Oczywiście umowa z wytwórnią płytową nie uniemożliwia mu wycia i brzdąkania na koncertach. Tu kasa wpada mu po raz kolejny i kolejny.

W tym samym czasie murarz, żeby zarobić, musi stworzyć kolejny budynek, a krawiec uszyć kolejne garnitury. Nieważne, że w budynku, który murarz



Zarządzanie korzyścią własną

wybudował własnoręcznie, działa teraz modna agencja towarzyska przynosząca właścicielowi krociowe zyski. Nieważne, że dobrze skrojony garnitur służy jego nosicielowi do podpisywania lukratywnych umów. Rola murarza i krawca kończy się w momencie otrzymania zapłaty za produkt.

Jeśli muzykowi nie chce się koncertować, a płyta chwilowo nie ma wznowień, to muzyk i tak zarabia. Jego produkcja leci w radiach, a videoklip w telewizjach i w sieci. Mało tego. Dociera do niego pieniądze za sprzedaż płyty, za którą przecież i tak już kasę dostał – to właśnie te płacone przez murarzy i krawców tantiemy.

Normalny producent czegoś za to, żeby pokazać to coś w mediach, jest gotów zapłacić. To się nazywa reklama. Muzyk jednak nie dość, że radio, czy inna telewizja, bądź kanał internetowy, poprzez puszczenie jego utworu, napędzają mu tłumy na koncert, dostaje za te odtworzenia żywy pieniądź. Bo jest twórcą i podpada pod ustawę o ochronie praw autorskich. Według niej, jeśli na produkcie ktoś zarabia, to powinien dzielić się z twórcą. Czyli autorem.

Fryzjer koncertujący

Pozyskiwaniem forsy dla autorów zajmują się afiliowane przy ministrze kultury organizacje zbiorowego zarządzania. Oficjalnie są to stowarzyszenia zrzeszające twórców, wykonawców, producentów oraz organizacje radiowe i telewizyjne, których statutowym zadaniem jest zbiorowe zarządzanie i ochrona powierzonych im praw autorskich oraz pokrewnych.

Za co się im płaci? A za wszystko. Jak się jest właścicielem dyskoteki, to za wszystkich możliwych (a nie rzeczywistych) imprezowiczów. Jak się prowadzi zajęcia z tańca lub aerobiku, to w zależności od ilości zajęć. Jak się jest organizatorem zawodów

tanecznych lub jazdy figurowej na lodzie, czy innej gimnastyki artystycznej, to haracz nalicza się od liczby miejsc w hali. Jak puszcza muzykę podczas festynu, płacimy za obecnych. Jak mamy knajpę, to kasują nas w zależności od liczby miejsc. Jak mamy zakład fryzjerski, czy szewski, becalujemy za metry kwadratowe. Tak samo gdy mamy sklep. Właściciele kin płacą od liczby foteli. Hotelarze – od liczby łóżek. Właściciele statków, autobusów i pociągów – też od liczby miejsc.

Na liście ministra kultury jest kilkanaście firm upoważnionych do pozyskiwania i przekazywania kasy. ZAiKS pobiera opłaty z tytułu ochrony praw kompozytorów i tekściarzy. STOART i SAWP chronią prawa wykonawców. ZAPA, ZASP i SAFT zaś reprezentują aktorów i filmowców. Oprócz tego trzeba uiścić opłatę w ZPAV, która zajmuje się zabieganiem o prawa producentów. Wszystkie firmy mają prawo ochrony praw artystów w nich niezrzeszonych. Dlatego i STOART-owi i SAWP-owi płacić trzeba podwójnie. Trzeba zaś, bo

za organizacjami zbiorowego zarządzania prawami autorskimi stoją duże pieniądze i świetni prawnicy. Świetni na tyle, że potrafią wmówić sądom, że klienci przychodzą do fryzjera żeby słuchać muzyki lub że powodem rejsu pro-mem do Szwecji jest chęć obcowania na pokładzie z twórczością Dawida Podsiadły.

Kwoty żądane przez ZAiKS i resztę może nie zwalają z nóg (od kilkudziesięciu do kilkuset złotych), ale i tak jest to przegięcie. Zarówno w świetle prawa, jak nawet praw twórców. Zryczałtowane opłaty za łóżka, metry kwadratowe i inne przeliczniki mają się nijak do pobierania pieniędzy za prawdziwą liczbę odtworzeń. Pokażcie mi szewca, czy manikiurzystkę, która zamiast piłować paznokcie, będzie robiła spis utworów, które lecą w radiu. Jeśli jednak tego nie robi, to skąd zaiksy wiedzą komu płacić?

Przechłapane mieli importerzy płyt CD i DVD. Płacili zbiorowym zarządzaczom za każdy dysk. I nieważne, że większość płyt nigdy nie miała nic

wspólnego z muzyką, czy filmem, bo zapisywano na nich miliardy tabeltek, sprawozdań, raportów i innych kwitów firmowych. Dla zaiksów stanowiły potencjalny nośnik piractwa, czyli wykorzystywania praw twórców. Słowo potencjalny zagrało też w przypadku opodatkowania haraczem dla zarządcy, kserokopiarek, drukarek i papieru. Przepisy te obowiązują nawet w świecie, gdzie o płytach CD nikt już nie pamięta, bo dane trzyma się na twardych dyskach lub w chmurze. Skoro jednak nikt płyt CD nie sprowadza, to zaiksy nie mają z tego kasy.

Papirus i gęsie pióro

Ale żeby tylko to! Do wnoszenia opłaty na ich rzecz zobowiązany jest wciąż każdy podmiot świadczący usługi, które wykonywane są przy pomocy takich urządzeń jak: kserokopiarki, skanery czy drukarki, jeśli w ich ramach wykonuje kserokopie, skany czy wydruki utworów na zlecenie osób trzecich. Utworami – w myśl prawa – nie są zaś jedynie akty normatywne lub ich urzędowe projekty, urzędowe dokumenty, materiały, znaki i symbole, opublikowane opisy patentowe lub ochronne, proste informacje prasowe.

Przy takiej definicji, wychodziłoby, że kserowanie faktury jest piractwem autorskim, od którego właściciel punktu ksero powinien odprowadzać haracz. Ale to nie koniec nonsensów.

W oficjalnych dokumentach wszystkich trzech antypiratów wydawniczych można przeczytać, że „nie ma możliwości określenia konkretnej liczby zwielokrotnień dokonywanych w ramach własnego użytku osobistego”, że „nie są naliczane w zależności od skali reprodukowanych utworów dla własnego użytku prywatnego”, a nade wszystko, że „określenie, które utwory są przedmiotem kopiowania za pomocą urządzeń reprograficznych, jest możliwe jedynie w przybliżeniu na podstawie badań statystycznych”.

Nikt nie zauważył, że papier przestał być nośnikiem tak informacji, jak i piractwa. Nikt normalny nie będzie sobie kserował Pottera, bo wydałby na to więcej, niż zapłaci w księgarni. Nikt nie skseruje skryptu uczelnianego, bo lepiej i taniej zeskanować go, czyli sfotografować najprostszym aparatem we własnej komórce i czytać na ekranie komputera. Po co zatem utrzymywać taki relik minionych technologii antypirackich? Po co podnosić ceny papieru, faksów, skanerów i kserowania? Odpowiedzi udzielają sprawozdania finansowe organizacji zbiorowego zarządzania. Wynika z nich, że średnio co piąta złotówka zebrana w ramach haraczu idzie na koszty wewnętrzne. Czyli na zarobki, premie i inne takie. Dzięki tej kasie poborcy haraczu mają się świetnie.

Zasileni Netflixem

PO z PSL nie wprowadziły proponowanego przez zaiksy haraczu, bo nie zdążyły. Władzę przejęło PiS. Przez osiem lat nic z postulatami zarządzaczy prawami autorskimi nie zrobiło, bo organizacja tych nie dało się ugryźć personalnie. Skoro więc w ich władzach nie zasiadali ludzie dobrej zmiany, to nie było interesu w zwiększaniu ich przychodów. Dlatego zaiksy od lat walczą, aby dostawać szmal od każdego smartfona, komputera i tabletu. Bo każdy taki sprzęt to ich zdaniem źródło piractwa. Łą. Dziś niemal nikt nielegalnie niczego nie kopiuje, bo ma to albo darmo, albo za niewielkie pieniądze w internecie. Po co więc kopiować coś, co ma się w każdej chwili na kliknięcie w klawiaturę? Logika zarządzaczy jest jednak żelazna. Co z tego, że się nie ściaga, skoro w każdej chwili można? I właśnie za możliwość piractwa trzeba im odpalić działkę.

Oni zaś ją później przetransferują do twórców. Skąd będą wiedzieli do kogo? Jak to skąd? Ze statystyk. Czyli po uważaniu.

80 proc. artystów ledwo wiąże koniec z końcem. O emeryturach nawet nie śnią, bo całe życie zarabiali na umowach o dzieło. Tantiemy większość z nich omijają, bo dotyczą tylko autorów tekstów i muzyki, a nie piosenkarzy i instrumentalistów. Ale niektórzy tantiemy sobie cenią. Jak choćby Rafał Trzaskowski, który za sprawą nieżyjącego ojca jazzmana, przysłał rocznie kilkadziesiąt tysięcy złotych.

Tymczasem do władzy wrócili miłośnicy zaiksów. Dlatego zaraz ceny Netflixów i innych internetowych przeglądarek muzyki i filmów podrożeją. Bo muszą, skoro nowa władza właśnie wykombinowała, żeby platformy streamingowe odprowadzały pieniądze do spragnionych szmalcu organizacji zbiorowego zarządzania prawami autorskimi. Zupełnie tak jakby ich twórcy już nie dostali szmalcu od firm, które ich twórczość za pieniądze puszczały w sieci.

Średni zarobek miesięczny brutto pracowników ZAiKS to kilkanaście tysięcy złotych.

Szmal zgarniany przez zbiorowych zarządzaczy w ciągu roku to setki milionów złotych. Fundusz kościelny, dzięki któremu prawo do emerytury i bezpłatnego leczenia mają duchowni płci obojga to 200 mln zł z kawalkiem.

Może zatem zamiast dawać zaiksom prawo do opodatkowania kolejnej grupy produktów i dzielenia tego szmalcu wedle uznania, należałoby z tej kasy stworzyć coś w rodzaju ZUS-u dla twórców – funduszu, który opędzałby ich ubezpieczenie zdrowotne i najniższą emeryturę.

Korzyść dla obywatela byłaby zaś taka, że wiedziałby, że jak już jest rżnięty, to przynajmniej w sposób kulturalny.

TADEUSZ JASIŃSKI

R E K L A M A

Marzena Kowalska
Prokurator, która pograży Ziobrę

Endecy u boku Gomułki

Alfabet Tomasza Jastruna

Wojciech Kuczok
Życie bez Lewandowskiego

tygodnikprzeгляд.pl

Przeгляд

Marzena Kowalska
Prokurator, która pograży Ziobrę

Wojciech Kuczok
Życie bez Lewandowskiego

Batagan z pracami domowymi

PO CO NOWACKA TO ZROBIŁA

Kwestia wiary

Nasze siatkarki mają większe szanse na olimpijski medal niż siatkarze.

Trwają mistrzostwa Europy w piłce nożnej. O futbolu nie napiszę jednak ani jednego zdania, choćby o porażce 1:2 z Holandią po wcale niezłej grze. Każdy, czy chce tego, czy nie chce, zalewany jest informacjami na ten temat we wszystkich możliwych mediach. Prawo do pokazywania meczów ma TVP, ale oprócz transmisji prowadzi tasiemce nazwane Studiami Euro 2024. Podobne audycje organizują inne stacje, choć pokazać samych meczów nie mogą. Oczywiście bardzo interesują się piłkarskimi mistrzostwami Starego Kontynentu, ale czasem zastanawiam się, czy rzeczywiście zainteresowanie to jest tak powszechne, jak wydaje się kierownictwom stacji telewizyjnych. Moi sąsiedzi np. w ogóle nie wiedzą, że odbywa się jakieś Euro, a nawet jeśli wiedzą, bo od tego nie da się całkiem uciec, to kopanie piłki ich nie obchodzi. Znam ludzi, którzy patrzą tylko na mecze Polaków raczej z patriotycznego obowiązku niż z miłości do futbolu. Oczywiście, na przeciwnym biegunie mam takich znajomych, którzy obiecali sobie nie przepuścić żadnej transmisji. Wśród moich znajomych przeważają emeryci, a my mamy dość wolnego czasu na wszystko, na co mamy ochotę.

Faworyci

Koniec o piłce kopanej – teraz będzie o piłce odbijanej, czyli o siatkówce. Równolegle z Euro w Niemczech trwają rozgrywki Ligi Narodów w piłce siatkowej zarówno kobiet, jak i mężczyzn. W przeciwieństwie do futbolu Polacy są tu faworytami. Poprzednie rozgrywki wygrali, wyprzedzając Stany Zjednoczone. W dorobku mają też srebrny i dwa brązowe medale tej imprezy. W tym sezonie nie idzie naszym reprezentantom tak dobrze. Zdarzyły się potknięcia z drużynami Słowenii i Brazylii. Gra też pozostawia trochę do życzenia. Pytanie tylko, czy jest to efekt dość licznych kontuzji, stosowanych przez trenera Nikołą Grbicę rotacji w składzie, czy rzeczywiście można mówić o minikryzysie żeńskiej reprezentacji.

Trzeba pamiętać, że Liga Narodów rozgrywana jest krótko przed igrzyskami olimpijskimi w Paryżu i tę ważną imprezę większość szkoleniowców traktuje jako element przygotowań do największych zawodów czterolecia. W dodatku mecze rozgrywane są na różnych kontynentach, w różnych strefach czasowych. Trzeba rozsądnie sterować swoimi siatkarzami. Forma ma przyjść w Paryżu.

Należą do tego schodzącego już pomaleńki pokolenia, które miało szczęście oglądać na własne oczy telewizyjną transmisję z finałowego meczu igrzysk olimpijskich w Montrealu w 1976 r., podczas którego nasza reprezentacja wygrała z towarzyszami radzieckimi 3:2. Cóż to był za mecz, co za emocje! Niestety, później, nawet gdy Polacy zaliczani byli do faworytów, przegrywali w ćwierćfinale w pięciu kolejnych igrzyskach, co zawsze kosztowało trenera kadry utratę posady. Zaczęto mówić o kłątwe ćwierćfinału – raczej bez sensu, bo żadna siła wyższa nie nadaje toru lotu piłki. Decydują o tym zawodnicy i ich sztaby szkoleniowe.

Regres

O ile nasi siatkarze zawsze byli hołubieni, zbierali nagrody w licznych konkursach i plebiscytach, o tyle siatkarkami nikt specjalnie się nie przejmował. Ot, grały w lidze, zarabiała może więcej, niż zarobiłyby na kasie w Lidlu, ale o kokosach nie było mowy. Po rozpadzie słynnej drużyny „Złotek”, które w latach 2003 i 2005 sięgnęły po mistrzostwo Europy, a trener Andrzej Niemczyk wyjechał za granicę z powodzeniem szkolić ich rywalki, reprezentacja zanotowała wyraźny spadek. W najlepszym razie określić ją można było mianem europejskich średniaczek.

Poziom polskiej żeńskiej siatkówki spadał coraz niżej. Przypomnijmy, z jakiego bagna musiał się wydobywać. W końcu nie tak dawno, bo w 2019 r., kadra się zbuntowała. 13 zawodniczek napisało list otwarty do ówczesnego prezesa Polskiego Związku Piłki Siatkowej Jacka Kasprzyka, w którym domagały się zwolnienia trenera kadry Jacka Nawrockiego.

Sformułowały dziewięć zarzutów; jeden bardzo konkretny. Chodziło o „bliskie, zażyłe relacje” członka sztabu z siatkarką.

Prezes Jacek Kasprzyk skomentował ten zarzut w swoim stylu: „Nie byłem przy tym. Za materac nie robiłem”. To dobre świadectwo taktu i umiejętności dyplomatycznych ówczesnego sternika polskiej siatkówki. Prezes Kasprzyk odpowiedział zawodniczkom na list przedłużeniem kontraktu trenera Nawrockiego do końca 2022 r. Od razu pokazał, po czyjej jest stronie.

ru oburzać się na powtarzające się w tych sytuacjach słowo „kurwa”. Nie tylko używa się go na boiskach sportowych, nieobce jest większości naszych rodaków, sam zresztą, być może w nadmiarze, posługuję się nim podczas swobodnych wypowiedzi. Nawet Idźcie Świętę, naszemu niekwestionowanemu bożyszczu, po nieudanym zagrożeniu zdarza się zakląć.

Wiadomo, że w siatkówce trenerzy korzystają z przysługującej im możliwości wzięcia krótkiego czasu podczas meczu, nie tylko po to, aby przeka-



zać uwagi odnoszące się do gry, ale także zmobilizować zespoły. Niekiedy kilka mocnych słów jest niezbędnych. Gdy Nawrocki zawałował do swoich zawodniczek, że stoją na krótko jak do dojenia krów, chyba przekroczył jednak jakąś granicę.

Co się od tego czasu zmieniło? Najpierw prezes. Kasprzyka zastąpił doskonały były siatkarz (którego karierę skróciła fatalna kontuzja), a następnie trener i działacz Sebastian Świderski. Człowiek – dodajmy, bo to też ważne – o wysokiej kulturze. W 2021 r. po burzliwych obradach zjazdu sprawodawczo-wyborczego PZPS wybrano właśnie jego. Rywalem był niezawodny Ryszard Czarnecki, który w chwili, gdy przekonał się, że nie ma szans pokonać Świderskiego, po prostu wyszedł z sali.

Więź w zespole

Świderski nie machnął ręką na zawodniczki, jak poprzednicy. Postarał się dla nich o jednego z najsilniejszych fachowców na świecie, trenera Stefano Lavarinię. Włoch dokonał niemożliwego. W niecałe trzy lata z europejskich średniaczek zrobił zespół, z którym muszą się liczyć najmocniejsze drużyny na świecie.

Turniej kwalifikacyjny do paryskich igrzysk to było coś niesamowitego. Z grupy eliminacyjnej awans zdobywała tylko jedna drużyna. A wśród innych zespołów udział brały w niej siatkarki Włoch i USA, zdecydowanie wyżej notowane od naszych. Gdy Polki przegrały z reprezentacją Tajlandii, wydawało się, że pogrzebały swoje szanse. Tymczasem później pokonały zarówno Włoszki, jak i Amerykanki, dzięki czemu po niemal 20 latach zagrają podczas igrzysk olimpijskich. Nawiasem mówiąc, po raz pierwszy od 2008 r. w turnieju olimpijskim udział wezmą zarówno polscy siatkarze, jak i siatkarki.

Oczywiście po ostatnim meczu zapanowała euforia. Zawodniczki i towarzysząca im kadra opiekunów rzuciły się w jakiś dziki taniec radości. Trener Lavarini stał skromnie z boku. Nie jest to człowiek wylewny. Szanuje i lubi swoje zawodniczki, ale utrzymuje z nimi stosowny dystans. Oczywiście – jak później tłumaczył – cieszył się

bardzo, ale olimpijski awans nie wziął się znikąd. Był to efekt ciężkiej pracy i codziennego realizowania założonego planu.

Na więcej luzu pozwolił sobie trener po zdobyciu mistrzostwa Turcji z drużyną Fenerbahçe Stambuł. Niewysoki szkoleniowiec wskoczył na plecy Magdaleny Stysiak, którą prowadził zarówno w tureckim klubie, jak i w polskiej reprezentacji. Czy to oznacza, że łączy go z polską atakującą szczególnie bliska więź? „Taka sama, jak z innymi zawodniczkami” – wyjaśnił ze śmiechem. „Ale tylko Magda była w stanie wytrzymać mój spontaniczny objaw radości...”

Wiele osób będących blisko naszej reprezentacji siatkarek podkreśla znakomitą atmosferę panującą w grupie. Mówi się, że zawodniczki są trochę jak siostry, a rzekomy konflikt między atakującymi Magdaleną Stysiak i Malwiną Smarzek był dziennikarskim wymysłem. Nie wiem, w każdym razie chyba wszystko jest już dobrze. Stefano Lavarini podkreśla natomiast, że nie zna języka polskiego (z zawodniczkami porozumiewa się po angielsku, ostatnio coraz częściej po włosku), więc nie wie o czym panie między sobą rozmawiają. Sam ma jednak podobne odczucie, że grupa stanowi jedność, a rywalizacja o miejsce w olimpijskiej drużynie raczej ją wzmacnia, niż osłabia.

Uwierzyć w siebie

A same zawodniczki? One bardzo podkreślają, że trener nie musiał ich uczyć gry w siatkówkę. Tu umiały, zanim przyszedł. Pozwolił im natomiast uwierzyć w siebie. W tych rozmowach często padało słowo „mental”, tak często używane nie tylko w grach zespołowych.

Tu przypominają mi się rozmowy z nieodżałowanym twórcą „Złotek” Andrzejem Niemczykiem. Zwracał uwagę nie tylko, jak jego dziewczyny grają, ale także jak się zachowują, a nawet, w co się ubierają. W tym celu był stałym czytelnikiem prasy kobiecej, dzięki czemu mógł sobie wyrobić opinię na temat aktualnie obowiązującej mody.

I jeszcze coś. Polskie zawodniczki przed ważnymi meczami chodziły do solarium, a na boisko wybiegały w pełnym makijażu. Ich rywalki, które całe dnie trenowały w hali, wychodziły na boisko blade, nieumalowane, z byle jak zawiązanymi włosami. Nasze dziewczyny już przy przywitaniu z tymi meczownicami sportu miały kilka punktów do przodu, bo górowały nad nimi pewnością siebie. Dziś wszystkie żeńskie ekipy naśladują pomysł Niemczyka.

Andrzej Niemczyk posiadał jeszcze jedną umiejętność. Tę samą, którą imponuje teraz Stefano Lavarini. Umiał przekonać swoje podopieczne do wiary w siebie. Dzięki temu potrafią nawet ze sporych opresji wychodzić obronną ręką.

Po zakończeniu pracy w Polsce Niemczyk wyjechał do Turcji. Turczynki były wówczas słabiotką drużyną. Polski trener prędko dokonał analizy. W kulturze tego kraju ważny jest tylko mężczyzna. On podejmuje wszystkie decyzje. Kobieta ma go słuchać. Pierwszym zadaniem trenera było więc nauczenie swoich zawodniczek, że one są równie ważne i mają nie tylko prawo, ale obowiązek podejmowania decyzji. Teraz Turczynki są jednymi z najsilniejszych rywali reprezentacji Polski.

Zacząłem ten tekst zdaniem, że nasze siatkarki mają większe szanse na olimpijski medal niż siatkarze. Nie napisałem tych słów pod wpływem środków psychotropowych. Naprawdę to w wierze. Zdarzyło mi się zresztą usłyszeć podobną opinię od ludzi lepiej znających się na siatkówce ode mnie.

WOJCIECH MITTELSTAEDT



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,
Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,
 Edyta Baker – sekretarz redakcji,
 Agnieszka Wolk-Laniewska – redaktor prowadzący,
 Małgorzata Daniszewska, Idalia Dubicka, Robert Jaruga,
 Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska,
 Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski,
 Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP.

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
 00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
 tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
 tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.
INTERNET
 www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.

E-MAIL:
 NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiacji tekstów oraz listów. Tytuły i źródła wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
 Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
 e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
 www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
 www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto: str. 1–16 – 19.06.2024 r.

SŁÓWKA POŁGŁÓWKA

Baśń o Binarnym Władku

Binarny Władek miał to do siebie, że widział tylko kolor zielony. Zielone były dla Władka zielone pomidory, czerwone pomidory i czerwona papryka. Jego szóstej żonie leciała zielona krew, a żółtko w jajku na miękko, które co rano zjadał, też było zielone.

Nawet Binarny Szymon mówił mu, że nie wszystko zielone, co się świeci, ale do Władka to nie docierało. Dla niego wszystko było zielone i dlatego lubił przedstawiać z kolegami, którzy rzeczy widzieli podobnie – z Binarnym Sawickim i Binarnym Bartoszewskim. Binarna Pasławska, pytana przez dziennikarzy, ile palców widzi i jakiego są koloru, odpowiadała, że musi się zastanowić.

Żył zatem sobie szczęśliwy Binarny Władek na swojej szczęśliwej zielonej wsi z zieloną szóstą żoną (czy szczęśliwą, oto jest pytanie), każdego ranka jadł jajko na miękko z zielonym żółtkiem, solił zieloną solą i pieprzył zielonym pieprzem.

Pewnego dnia Binarny Władek spotkał Kotulę, która od dwustu lat chodziła po świecie i namawiała bliźnich do popierania związków partnerskich.

– Masz zielone spodnie – zauważył Binarny Władek, spoglądając na spodnie Kotuli, które były czerwone. – I zielony zakiet.

– Jeśli zgodzisz się poprzeć ustawę o związkach partnerskich, gotowa jestem przyznać, że moje spodnie są trochę zielone – rzekła Kotula. – I mój zakiet.

– Jak ja mogę powiedzieć, że jesteś ubrana trochę na zielono, skoro cała jesteś zielona? – spytał Binarny Władek. – Związki partnerskie to grzech.

Z góry dało się słyszeć trąbienie trąb niebieskich.

– Posłuchaj, jak w niebie w zielone trąby dmą zieloni aniołowie – ucieszył się Władek.

– Jakiej płci są aniołowie? – zapytała Kotula chytrze i zniechęta.

Trąby ucichły.

– Mają pindole czy cipki? – naciskała Kotula.

Po czym Kotula wygłosiła wykład teologiczny, od którego Binarny Władek zrobił się zielony ze złości. Przeklął takie słowa jak „agender”, „genderneutral” i „genderfluid”.

Następnie wrócił do wsi i na wszelki wypadek rozwiódł się z szóstą zieloną żoną, by poślubić siódmą zieloną żonę, o której można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest aniołem.

PRZEMYSŁAW CŹWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN i AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

poszły na Paradę Równości. Tę komercyjną. Joanna na platformie, Wołk na nogach.

Senyszyn: – Dlaczego zaraz komercyjną?

Wołk-Łaniewska: – No bo firmy ją sponsorowały. Mój GBF tak mi powiedział, z jakąś odrazą, kiedy zapytałam, czy się wybiera...

– Kto, przepraszam?

– Gay Best Friend. Najlepszy przyjaciel gej. Każda dziewczyna z dużego miasta powinna mieć najlepszego przyjaciela geja, co ty, „Seksu w wielkim mieście” nie oglądałaś?

– A wyobraź sobie, że nie. I nie chcę być nie-miła, ale chyba powinnaś już wyrosnąć z bycia dziewczyną? A poza tym, w dzisiejszych czasach bez sponsorów nie da się niczego zrobić. Podziwiam organizatorów, że w krótkim czasie znaleźli środki na paradę, bo przecież konto ich fundacji zostało kilka miesięcy temu ogłoszone przez poprzednią przewodniczącą ze 100 tys. zł. Wielka jest też zasługa wolontariuszy, że o wszystkim zadbał. Moim zdaniem było perfekcyjne.

– Mnie bardzo zachwycił jeden koleś, który nie chciał być dumny z firmy produkującej śmiercionośną broń. Tu potrzebne jest słowo wyjaśnienia: w Polsce event nazywa się „paradą równości”, co mnie akurat cieszy, bo jestem za równością w każdym wydaniu, ale generalnie na świecie nosi nazwę „parady dumy LGBTQ+”. I ten koleś, co mnie zachwycił, miał ręcznie wypisany transparent: „General Electric sprzedaje silniki lotnicze dla zabójczej armii Izraela, z czego mam być dumny?”. Nie wiem, dlaczego akurat General Electric wyeksponował przy tej okazji, ale raczej miał w stu procentach...

– Pewnie GE sponsorował którąś platformę.

– Jedną z sześciu...

– Nie zaniżaj, doliczyłam się z piętnastu. I manifestantów było ze 20 tys., choć faktycznie było więcej. Natomiast transparentów i haseł – jak na lekarstwo. W dodatku wszystkie małe, na kartonikach, taka chałupnicza robota. Podobał mi się „Wolna Palestyna”, choć nie na temat.

– Nie zauważyłam Palestyny. Może dlatego odniosłam wrażenie, że było do dupy. W zeszłym roku kilkadziesiąt tysięcy ludzi i kilkadziesiąt platform, a w tym taki smutek.

– Co ty pleciesz? Jaki smutek? Zaczynam mieć wrażenie, że byliśmy na różnych paradach i dlatego spotkałyśmy się nie na trasie, a dopiero wieczorem. Moja parada była imponująca: kolorowa, radosna, rozśpiewana i roztańczona. A przecież społeczność LGBT wciąż nie ma powodów do zadowolenia. Miesiące płyną, a ustawy o związkach partnerskich, nie mówiąc już o równości małżeńskiej, jak nie było, tak nie ma i nie wiadomo, czy w ogóle będzie. Nie ma też zakazu mowy nienawiści w stosunku do osób nieheteronormatywnych ani nowej, sensownej regulacji uzgodnienia płci. W dodatku w tym



FOT. W. MICHALAK

roku to była już druga parada w Warszawie, a 22 czerwca ma być jeszcze trzecia. Więc uczestnicy się podzieliли.

– Pomysł, żeby się pożyć do tego stopnia, żeby urządzić trzy konkurencyjne eventy, wydaje mi się bezcenny. Nawet naszym ateistom to się nie udało, u nas są tylko dwie zwalczające się frakcje i dwa konkurencyjne zloty.

– Mniejszości, jak sama nazwa wskazuje, są małe i co gorsza, chcą być jeszcze mniejsze, więc się rozmnażają przez podział. Niestety, członków i sympatyków.

– W tym miejscu chciałam się pochwalić, że jestem ponad podziałami.

– Religijnymi?

– Wręcz przeciwnie, ateistycznymi. Zagłosowałam na projekt Niny Sankari, która chce posadzić drzewo pamięci Kazimierza Łyszczyńskiego, straconego w 1689 r. za ateizm. Projekt jest w ramach budżetu obywatelskiego Warszawy i wszystkich warszawiaków namawiam, żeby też zagłosowali.

Mimo iż Nina jest od tych drugich ateistów. A wracając do parady: na której platformie byłaś? Lewicowej?

– Lewicowej nie było, tylko czarasta, z którą mi nie po drodze. Jako weteranka wojów o równe prawa LGBT byłam w Komitecie honorowym parady, z czego jestem dumna, i z tej racji – na platformie organizatorów, która była pierwsza, więc miałam wspaniały widok na ogrom maszerujących. Kogo tam nie było! Rozmawiałam z Trzaskowskim, z Luną...

– Na pytanie „kogo tam nie było” odpowiedź, jak mi się zdaje, brzmi: Biedronia i Śmiszka.

– Pewnie bawia za granicą. Śmiszek zapowiedział, że będzie walczył o prawa gejów Brukseli.

– Taaaa, bo akurat tam są szczególnie zagrożone.

– Wracając wszakże do meritum sporu: zauważyłaś, że prawica, żeby robić ludziom wodę z mózgu i wrogo nastawiać do społeczności LGBTQ+, mówi, że domagają się przywilejów. Trudno o większe kłamstwo. Przywileje to ma w Polsce Kościół kat. A geje, lesbijki chcą mieć tylko takie same prawa jak heterocy. Łącznie ze ślubami, choć tu akurat nie wiem, po co. Śluby są coraz mniej popularne. 30 proc. par hetero nie bierze ślubu, a 30 proc. tych, co wzięli, się rozwodzi. Wiesz, że co czwarte dziecko w Polsce rodzi się w związku nieformalnym?

– Tego akurat ja nie rozumiem. Jak już ludzie są na tyle wolni intelektualnie, emocjonalnie i w ogóle duchowo, żeby nie brać ślubu – to po cholere im te dzieci?

– Dzieci się ma z powodów egoistycznych. To z jednej strony zaspokojenie zwierzęcego instynktu, a z drugiej złudzenie, że będą zabezpieczeniem na starość.

– Ale przecież jest tyle przyjemniejszych egoizmów. Można egoistycznie na Kubę polecieć, albo choć do Tunezji, jak ja w tym tygodniu. Na plaży poleżeć, drinka z palemką wciągnąć w barze przy basenie, zamiast pielęgnować przewód pokarmowy z wrzaskiem na jednym końcu i kupą na drugim.

– Na dojrzałe lata robisz się zgorzkniała, nietolerancyjna i mówisz językiem nienawiści. Niech ci, co chcą i ich stać, mają dzieci, niech je utrzymują, wychowują, kształcą. Najlepiej za swoje, a nie za pieniądze ściągane od emerytów. Bo pewnie nie wiesz, że emerytów jest mniej więcej tyle, co dzieci. I każdy płacił kiedyś 500, a teraz ok. 800 zł miesięcznie różnych podatków. To oznacza, że emeryci ze swoich kieszeni w całości finansują sztafardowy program PiS, przejęty i podwyższony od stycznia przez Tuska.

– A ci obrzydliwi ejdźcy w mediach ciągle opowiadają, żeby robić więcej dzieci, bo one „pracują na nasze emerytury”...

– To bezcelne kłamstwo władzy i pracujących. W rzeczywistości każdy emeryt dostaje dokładnie tyle, ile sobie odłożył składek. Emerytom nikt niczego nie daje. Klasą próżniaczą są głównie dzieci i młodzież. Troszczyć zaś należy się przede wszystkim o seniorów, bo naszą przyszłością jest starość.

– Nieodległa, niestety.

– Mów za siebie.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA ODC. 303



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI